
DUM·VIVAM
USQUE
ET ULTRA
K.S.W.

PODRÓŻ DO PRUS.





Pleśń!

książkę owinąć w papier
zawiązać sznurkiem,
opisać na opakowaniu
tytuł książki i przekazać
p. M. Majewskiej





PODRÓŻ DO PRUS

PRZEZ

A. M. GRABOWSKIEGO.

Choćbym był jedynym czytelnikiem mych książek, wydałbym je.

—

Wojska narodu są jego żywą, ruchomą poezyą; zawierają one w sobie przymioty najwyższego poświęcenia, wyrzeczenia się siebie, popierając moralne przekonania swych ludów.

—

Słyszałem tam pochwały, że język polski jest pięknym, że wypada się go uczyć.

(*Autor.*)



PARYŻ.

W DRUKARNI L. MARTINET, PRZY ULICY MIGNON, 2.

1859


POLITECHNIKA
Biblioteka
Główna
GDAŃSKA



TREŚĆ.

ROZDZIAŁ I.

ROZDZIAŁ II.

ROZDZIAŁ III.

ROZDZIAŁ IV.

ROZDZIAŁ V.

ROZDZIAŁ VI.

ROZDZIAŁ VII.

ZAMIAST PRZEDMOWY,

KILKA SŁÓW DO JEDNEGO Z NAJZDOLNIEJSZYCH AUTORÓW WSCHODNIÉJ EUROPY.

—

O! niebaczny poeto, Ty więcéj dla wschodu
Europy i świata mógłeś był uczynić,
Gdybyś świecił ostróżniéj dla swego narodu,
Gdybyś szlachetnych niechciał o podstępy winić.

O niebaczny poeto! Ty dzieło zbratnienia
Chciałeś zacząć od środka, podobno od końca;
Wolność, nie rozum, zwałeś jutrznią odkupienia,
I późno, ach! już późno Twa lira mdlejąca
Uznawała swe błędy i błędy zachodu.
Ach! nieznałeś Ty dziejów sławiańskiego rodu.

Nie wiedziałeś że braci, że ludy wsławione
Zagrzebano w przeszłości, wśród gruzów zniszczenia,
Że daremnie czekały na bratnią obronę,
Że uległy, niestety! losom zatracenia!
Poeto! czemuś niegrał hymnu ich ocknienia?

PODRÓŻ DO PRUS.

ROZDZIAŁ I.

Jest w Europie kraj nie zbyt szczęśliwy, przez jednę część swych synów, w łapciach chodzących, *Prusy*, przez drugą *Prajsen* nazywany; przedmiot to darowizny czy zdobyczy; kraj zapomniany, zaniedbany przez swoją współojczyznę, a jednak wierny jéj obyczajom i językowi, przez długie lata prześladowań; kraj w prawdzie prostaczy, rozumnie jednak, przez cztéry wieki odpychający germanizm od swoiéj strzechy: rozciąga się on cały pod łagodném niebem Europy, i, wierzcie mi Polacy, wierzcie mi Sławianie, ma on byt rzeczywisty, nie urojony.

Trudno pojąć dla czego ten kraj, dziś jeszcze w większéj połowie polski, pozostał przez nas zaniedbanym? dla czego w czasach siły i sławy naszéj, skazany był na przyjęcie Niemców za swych panów? dla czego i dziś nikt o nim nie wie, nie ubolewa nad nim, chociaż jest on tak blisko od Warszawy: nie więcéj jak mil 15? Zapewne tyle on się nam źle zasłużył, ile Szląsk srebro-i chlebo-dajny, na który spokojnie patrzano, kiedy się odrywał od Polski na korzyść Germanów, który i dziś — o zupełny niedostatku myśli narodowéj! — nie obudza w nas żadnego współ-czucia, chociaż mówi po polsku a pracuje na Niemców. Coż robić! Ojcowie to nasi odstępowali Niemcom własne kraje, oddawali swoich braci w germańskie poddaństwo, sami zaś rzucali się na zdobycz niewolników w stronę przeciwną. I na nieszczęście znajdowali ten zgubny cel swych

usiłowań, znajdowali dosyć rozdwojenia i niemocy na Wschodzie, a to odwiodło ich od stawienia oporu germanizmowi na ziemi własnéj.

Po wielkim Chrobrym i Krzywoustym, po dość bezskutecznych, a późniéj wcale udaremnionych działaniach Jagiełły i Kazimierza Jagielończyka, żaden z królów naszych, żaden wódz —co mówię? — podobno żaden Polak nie miał myśli obrócić oręża na Zachód, chociaż, jak się zdaje, nie było tam oporu do niepokonania. Któż wié, kto śmiałby powiedzieć? może téż to dopiéro dziś nastała pora zwycięstwa nad Germanami połączoną siłą Sławian; może dopiéro dziś to jest wykonalném! — Pierwéj ich duch rycerski i ich wykształcenie były wyższémi od naszych, wtedy zwycięstwo było niepodobném; dzisiaj, my wyrównaliśmy się pod témi względami, lecz mamy tę wyższość za sobą, że gotowsi jesteśmy umierać, niż oni.

Urodziłem ja się, i « przeskakałem wiek młody » w guberníi płockiéj pod widnokręgiem wspólnym z ziemią pruską, trzy mile od Napiórk, Kanigowa i tysiąca innych wiosek podobnie po polsku nazwanych. Te wioski, o hańbo ! ta ojczyzna Napiórkowskich i Kanigowskich są pod panowaniem Niemców od czasów zapomnianych, są w Prusach Książęcych, jak dawniéj nazywali, a w Prusach Wschodnich, jak dziś podzielono. Dzieckiem jeszcze u ojca, widziałem ludzi, przychodzących z tego kraju, nieumiejących po niemiecku, mówiących językiem naszym mazowieckim, jak dziś porównywam, staroświecko-polskim. Przez lat kilka zwracali oni, zaostrzali moją uwagę dziecinną swémi opowiadaniami o Ostrudzie, Biskupcu i innych swoich miastach. Kiedy późniéj oddano mnie do szkół, chwytałem każdą książkę mówiącą o tym kraju, czytałem ją przed innémi; w każdéj mniéj więcéj znajdowałem potwierdzenie owych opowiadań o uszy dziecka. To wszystko wytężyło moją żądzę; zapragnąłem poznać tę ziemię nieznaną, sprawdzić, czy ludzie tamtejsi są i jak dalece Polakami; postanowiłem przekonać się, zobaczyć ten kraj zaniechany, tę ofiarę, złożoną przez Polskę na ołtarzu przenarodowienia.

Jest jakaś siła, ukryta na Zachodzie Europy, która jak

wiatr zmiatający śmieci, posuwa ludzi ku Wschodowi, a odwrotnie jak magnes duchowy ciągnie umysły w swoją stronę, każe Wschodowi kochać to wszystko, co Zachód wydaje. W samćj rzeczy, dlaczego Alzacya francuzieje? Dlaczego tyle Sławian, nawet Polska, dlaczego niemczeje? Czemu inne ludy przenarodowiają się, każdy na korzyść swego sąsiada zachodniego?

Ta siła podwójnie działająca jest tu odpowiedzią. Przypatrując się temu blisko, trzeba powiedzieć, że przyrodzenie sprzyja Zachodowi; iż w umysłach jest wada, przychylna dla Zachodu; klimat to południowo-zachodni przyspieszający rozwój umysłów i pomnożenie ludności, wydaje ten fenomen dziejów. Czyli kiedy powaga usposobienia północnego będzie wyższą nad lotność usposobień Południa? albo innémi słowy: czy religijne uczuciowe milczenie Sławianina, milczenie pełne rozwagi i poezyi, milczenie oparte na ubóstwie i skromności w duszy, oparte, prócz tego, na przekonaniu, że czyny najlepiéj mówią, czy takie usposobienie będzie wyższém nad gadatliwą wystawę rozumu, a brak czynów dobrych, u reszty zbutwiałych ludów Europy, nad fanatyzm rzeczywistości, to jest żądzę wydobywania i przetrawu?

Czy lepszém będzie? ja nie wiem; zdaje mi się wszakże iż rozwięzuje się to w naszych oczach, a to pewna, że podług odpowiedzi, żyć będą nasi potomkowie. Może Północ i wygra znowu, jak już wygrała z Rzymem zniewieściałym. Bezwątpienia wielka jest ta siła Zachodu, kiedy nawet polska gotowość na śmierć i polska rycerskość nie były zdolne stawić czoła i piersi Germanom. Ależ będzie czas, w którym się to odmieni, bo historya wskazuje, że ludy Południa póty tylko pozyskują mieszkańców północnych przez swoją wyższość umysłową, póki te nie dostrzegą swojéj wyższości fizycznéj, póki nie dostrzegą, że tamte przez zbytek życia, przez zaspakajanie zbytecznych żądz umysłowych zużyły się, skrzywiły, znikczemniały. Bo i dla czegożto: Szląsk, Łużyce, Wielko-Polska i Prusy nie oparły się potokowi narodowemu, z Zachodu na Wschód? a cała Sławiańszczyzna dla czego nie otrzymała

wsparcia w walce z Germanami od Polski wówczas najsilniéj-széj? Oto hordy Tatarów, opanowujące Wschód cały, usiłujące podbić i Europę, zajmowały nas i zastraszały cztéry wieki..... W tym całym więc okresie widocznie nie ma politycznego przestępstwa. Gdzież zatém jest wina Polski, przeciw sobie i Sławiańszczyznie pozorna albo rzeczywista? Zaczyna się dopiero wtenczas, gdy walka z hordami Wschodu ustała, Polska jednak nie ruszyła z siłami na Zachód, aby odzyskać swoję ziemię i wyrwać germanizowanych z niewoli; kiedy jakby umyślnie, a podobno tak jest że umyślnie zaniedbała swoich współbraci zachodnich : Polaków i innych Sławian. Takie to wyobrażenia były przedmiotami moich sprawdzeń na miejscach, taka przeszłość do porównania z teraźniejszością. I z ciekawości, któréj zaspokojenie jest u mnie téj saméj ceny, co u kogo innego wielkie pieniądze, taką ciekawością niepokojony, wyjechałem do kraju nazywanego Prajsen językiem jego władców, a przez wszystkich prawie jego mieszkańców i przez ludzi takich jak ja, z uporem nazywanego Prusami.

Posłuchajmy najprzód co mówi Bielski o tym kraju.

KRONIKA BIELSKIEGO.

(*Myśli Bielskiego wyrażone językiem dzisiejszym*).

«Roku 1453 posłowie szlachty i miast pruskich przybyli do Kazimierza Jagielończyka ze skargą na Krzyżaków. Mówili, iż doznali wielu krzywd od nich, i prosili króla, aby ich bronił. Za tymi przyszli inni także posłowie z prośbą, aby król tamtych nie słuchał i postępował z nimi podług dawnych układów. Król jednym i drugim dał taką odpowiedź : że jako władca chrześcijański, nie chce kłócić nikogo, ale gotów być pośrednikiem, jeżeli obie strony go wezwą.

» Tegoż roku szlachta pruska i miasta, nie chcąc dłużéj cierpieć okrucieństwa, zbytków i łupiestwa swoich panów Krzyżaków, wypędzili ich ze wszystkich miast i wyprawili posłów do króla, aby się mu poddać. Posłowie spotkali króla w Sandomierzu, kiedy jechał z Litwy, ale ich nie wysłuchał, bo spieszył na swoje wesele z Elzbietą, córką Wojciecha cesarza. Po weselu, odbytém w lutym 1454 r., król przywołał posłów i wysłuchał Jana Bażeńskiego, który imieniem wszystkich tak przemówił :

« Przodkowie nasi, niezwyciężony królu, byli zawsze wiernymi przodkom waszym, i t. d.» Kiedy domówił, kazano im odejść. Panowie zaczęli głosować co do tego żądania. Kardynał Zbiszek radził ich nie przyjmować, dla przymierza zawartego pod przysięgą z mistrzem pruskim. Jan Czyżowski, kasztelan krakowski, radził przyjąć ich obiema rękami, nie opuszczać téj sposobności, i nie lekce ważyć téj ziemi niemałéj i bogatéj w porty, miasta i inne wielkie dochody. « Dla niéj to, mówił, przodkowie nasi wiele krwi wylali a nie mogli jéj przyłączyć; mamyż ją teraz opuszczać, kiedy dobrowolnie oddaje się?... Nie dopuść tego Boże! Już dosyć królestwo nasze obszarpane, utraciło dosyć swoich dzierżaw: Szląsk, Margrabstwo i inne. Źle byłoby nie powiększyć go zkądinąd, zwłaszcza, kiedy pora i sposobność. Cóż będzie, jeżeli się oni komu innemu poddadzą? Jak tylko będzie tam kto inny, kłócić się z nim musimy, i wtedy będziem żałowali, choć już za późno. Dla tego radzę, w imie Boga, przyjąć ich i bronić bez względu na przymierze, którego nam Krzyżacy nigdy nie dotrzymali, bez względu na niepokoje jakie to za sobą pociągnie. Trudnoż dla trzasku nie pojść do lasa.» Wielu połączyło się z jego zdaniem. Jan Tęczyński, wojewoda krakowski, radził odłożyć to do sejmu, jako sprawę ważną i potrzebującą wielkiego namysłu. Przyjąć ich czy nie przyjąć, radzono dni piętnaście. Długosz mówi, że i rycerstwo było wezwaném do głosowania. Mistrz pruski tymczasem posłał swojego podskarbiego, udając iż na wesele, a rzeczywiście z 50,000 złotych, aby nie dopuszczał przyjęcia Prusaków pod opiekę Polski, zaczém, w ostateczności, i sam mistrz musiałby poddać się i postąpić hołd królowi. Ale kiedy posłowie rozgłosili, że pojadą do Władysława, króla czeskiego, jeżeli ich polski nie przyjmie, Kazimierz wezwał ich i wziął pod swoją obronę. Utworzył zaraz czterech wojewodów rządców kraju, to jest: *Jana Gdańskiego, Gabryela Toruńskiego, Scibora Bazeńskiego Elblągskiego* i *Augustyna Stena Królewieckiego*. Nad wszystkimi postanowił Gdańskiego, i mianował gubernatorem ziemi pruskiéj. Podpisawszy ich listy, odprawił posłów.—Nim wyjechali z Krakowa, przychodzi nowina do króla, że Gdańszczanie, Torunianie, Elblążanie i Królewieczczanie pobużyli swoje zamki, aby nie doznać znowu niewoli. Nie podobało się to królowi, szlachcie pruskiéj i wszystkim naszym. Król, zamierzający wyjechać tam wkrótce, został w Krakowie, z tego powodu, że nie został mu żaden zamek na bezpieczne mieszkanie. Wyprawił jednak posłów swoich i Andrzeja, biskupa Poznańskiego, z Janem Koniecpolskim, kanclerzem, aby tam byli do jego przyjazdu.

» Słysząc o tém inne miasta krzyżackie w kraju, nazywanym Margrabstwem nowém, choć to wypada nazywać ziemią kaszubską, wybiły się z pod władzy Krzyżaków i poddały Fryderykowi, margrabiemu Brande-

burskiemu, który przez posłów prosił króla Kazimierza, aby mu tego nie miał za złe, i obiecał królowi pomagać przeciwko Krzyżakom. Król odpowiedział margrabiemu żądaniem, aby wyszedł z tych krajów, które od dawna należały do Polski, i groźbą, że będzie siłą wyparty, skąd dobrowolnie nie odstąpi. W tym samym czasie posłał król Mikołaja Chrząstowskiego (Strzegowczyka), wojskiego krakowskiego, do Władysława, króla czeskiego, a Jana Doliwę z Brzeża do cesarza Fryderyka, będącego na sejmie w Regensburgu; i do Papieża posłał, aby go usprawiedliwili co do skarg krzyżackich. Wyjechał później do Brześcia na sejm z Litwą, zebrany w tym celu, aby nie pozwoliła kawalerom Inflanckim pójść do Prus przeciwko Polakom. W maju zwołał sejm do Łęczycy, na który nie wielu przyjechało z Małéj Polski i Rusi. Tam to postanowiono, aby król jak najprędzéj jechał do Torunia, aby przyłączył do sił swoich ziemie Kujawską i Dobrzyńską przeciwko kawalerom pruskim, oblegającym Malborg, Sztum i Brodnicę, z których zamek ostatniego miasta poddał pierwéj kontur w nim zawarty Janowi Kosieleckiemu, wojewodzie Inowłocławskiemu. » (*Dzieje Pruskie* p. 351).

Posłuchajmy jeszcze, co mówi Dr M. W. Heffter, w najważniejszéj dla nas części dzieła : « Der Weltkampf der Deutschen und Slaven nach seinem Ursprunge, Verlaufe und nach seinen Folgen dargestellt. (Hamburg 1847). »

Od krucyaty przeciw Wendom w 1147 r. zaczynając, przedstawiamy walkę o świat między Sławianami i Niemcami na całéj powierzchni Polski zgermanizowanéj.

DRAMAT GERMANIZACYI POLAKÓW.

Treść Dramatu.

« Najścia Niemców na kraje Sławiańskie stają się coraz skuteczniejszemi, bo fanatyzm religijny podnosi ich odwagę i siłę woli; bo przez uchylenie się cesarza, naczelnika ich państwa, ustaje opieka nad książętami pogranicznemi; bo mają oni za dowódców ludzi silnych i przedsiębierczych; bo przewyższają Sławian męstwem, zdolnością wojskową, wykształceniem, zwrotnością umysłową i fizyczną. Z znakiem krzyża na ramieniu i mieczem w ręku, Niemcy zajmują przemocą kraje Sławiańskie między niższą i środkową Elbą a Odrą; daléj przechodzą tę ostatnią rzékę, a następnie Wisłę, Dźwinę, i t. d. Wszystkie te kraje kolonizują, chrystyanizują, germanizują. Odbywa się to i drogą pokoju, z powodu wyższéj cywilizacyi i wykształcenia Niemców. Meklemburg i Pomorze,

choć pod narodowymi książętami, nie mogą się uchronić germanizacyi i wchodzą do związku niemieckiego.

»Szląsk, w końcu XIIIgo wieku, zaczyna odosobniać Czechy i Morawią. Nawet cywilizacya niemiecka przedziera się do Polski i do Rossyi, niegdyś tak silnie utrzymujących swoją narodowość, i przeobraża stósunki tamtejsze pod wielą względami. Mimo to dwa ostatnie mocarstwa, to jest Polska do swego upadku, a Rossya teraz jeszcze, umieją utrzymać się przy swéj sławiańskiéj narodowości. Jednak postępy germanizmu są ogromne, są na cały świat historyczne. Ogniskiem tego życia na północy jest z początku dom Askański w Brandeburgii, późniéj dom Hohencollern. Przeciwnie, państwo Niemieckie traci ciągle swoje znaczenie pierwotne.

»Musieli nakoniec Niemcy uspokoić i rozprzestrzenić swoje północne granice, opanować Sławian dotąd tak mężnych, tak uporczywych. Sztuka wojenna, męztwo i fanatyzm religijny, wydały skutki jakich nie można było osiągnąć przez wieki poprzednie, o jakich zaledwie można było marzyć przy rozpoczęciu walki.

»W roku to 1145 usłyszano na Zachodzie głos ze Wschodu o pomoc. Turcy wydzierali chrześcianom zdobyte przez nich miasta i kraje. Edessa w Mezopotamii o mało nie padła ich ofiarą. W tenczas to papież Eugeniusz III wezwał cały Zachod do nowéj Krucyaty, mającéj za cel ziemię obiecaną. S. Bernard, ów sławny zakonnik i opat z Klerwo (weFrancyi), wsparł tę pismienną odezwę, swoją porywającą wymową, i w Niemczech, gdzie mianowicie zgromadzenie książąt z 2 lutego 1147 r., pod przewodnictwem Konrada III, było także pozyskaném dla téj sprawy świętéj, i oświadczyło się za krucyatą do Palestyny. Sasi tylko wyłączyli się przedstawiając, że mają dosyć bezbożnych niedowiarków tuż około siebie, że tych trzeba pierwéj pokonać nim się pomyśli o kimś za granicami Europy. S. Bernard znalazł zadziwiającém iż to od dawna nie nastąpiło, i niemógł ukryć swego niezadowolnienia. Za radą króla i zgromadzonych książąt, oraz prałatów, starał się zwrócić całą siłę chrześciańskich Niemców przeciw ludom Sławiańskim, aby je wytępić albo nawrócić. Chcąc tym pewniéj cel osiągnąć, zapewnił wszystkim mającym w tém udział, taki sam odpust jaki Kościół udzielał idącym do Jerozolimy. Niektórzy zaraz w Frankfurcie przybrali *krzyż Wendeński* odróżniający się swym kształtem. Inni, mniéj gorliwi, obiecali Bernardowi przyłączyć się do wyprawy przeciw Słowianom. Papież pochwalił ten zapał chrześcian przeciw niewiernym Palestyny, Hiszpanii, Wendom i innym bałwochwalcom północnéj Europy.

»Zagroził on klątwą aby nikt nie przyjmował od bałwochwalców pieniędzy ani innych kosztowności w celu pozostawienia ich przy ich wierze. Tym sposobem wskazał istotną przyczynę, dla której się

już wprzody nie powodziło orężowi niemieckiemu. Takie samo ogłoszenie wydał Bernard w Klerwo, zakazując wszelkiego przymierza z bałwochwalcami Sławianami za pieniądze albo roczny haracz, za nimby bałwochwalstwo a nawet naród ten cały był wytępionym. Polecono biskupom i arcybiskupom należącym do wyprawy pilnować tego jak najbardziéj. Przytaczamy to aby wskazać na czém opierały się późniejsze okrucieństwa Niemców. Dzień zebrania oznaczono na 29 czerwca. Król sam jednak niemógł być dowódzcą wyprawy, bo zobowiązał się pójść do Palestyny; zastąpili go graniczni książęta, co, nie tylko miało wielki wpływ na teraźniejszą wyprawę, ale było przykładem i wzorem na całą przyszłość. Tym sposobem znikła opieka głowy państwa niemieckiego, tyle szkodliwa dla oręża Niemców w wojnach ze Sławianami. Książęta uczuli wolniejszemi swoje ręce do działania, przez to uczuli większą ufność, większą odwagę, więcéj zajęcia. Zaczęli oni wyprawy i zdobycze na swą własną korzyść, tém silniéj, tém odważniéj, tém skuteczniéj. Interes prywatny szkodził ogólnemu interesowi państwa, i czynił książąt coraz bardziéj samoistnymi, zwłaszcza iż cesarze Niemieccy coraz bardziéj zwracali swą uwagę na Południe a zapominali o Północy. Papież, poniekąd, kierował tém wszystkiém. Pod jego opieką najczęściéj wykonywane były te przedsięwzięcia; ale chociaż władza Kościoła chciała tu być przeważającą nad świecką, nie zupełnie jednak jéj się to udawało. Z czasem nawet straciła ona całą swoją siłę. Nastąpiło to, co Lappenberg, mówiąc o miastach Hanseatyckich, objawia: «Przedewszystkiém, mówi on, brak jedności narodu i państwa uczynił wielkimi książąt północnych.»

» Czego nie mogła, czyli nie umiała dokazać słabość albo nędzna polityka głowy państwa, tego dokonały pojedyncze jego członki działalnością, męztwem i przezornością. Tak niekorzystny dla jedności Niemiec brak udziału cesarza w sprawie Północy, był korzyścią dla narodu w walce ze Sławianami.» (Pag. 336—340).

ROZDZIAŁ II.

Przed przejechaniem granicy w Pepłowku, na naszéj komorze, spotkałem mego dawnego znajomego Edwarda Lasockiego. W nim jak we wielu Lasockich znajomych mi, znalazłem przed kilką laty, znalazłem i dzisiaj czoło pogodne, oko śmiałe i wszystkie inne cechy duszy bez zarzutu. Na pociechę usłyszałem z jego ust sąd trafny: naganę młodzieży dzisiejszéj, która, podług niego, nie daje dowodów mocy duszy ani

usposobienia. Znalazłem w nim ostrożność, dowód rozsądku. Za granicą, tuż przy niéj, stoją Napiorki, wyżej wspomniane i zwyczajnym sposobem zgermanizowane na *Napirken*. Kobiéty szczególniéj przyjęły tam strój niemiecki; każda jeżeli nie przemówi, będzie niezawodnie nazwaną Szwabką przez Polaka; gdy wszakże otworzy usta, gdy powie swoje nazwisko, przekonasz się, że jest Polką, każda mówi jedynie po polsku i nazywa się na *ska* lub *cka*. Mężczyzni po wierzchu są także Niemcami, nie tak bardzo jednak jak kobiéty; w ich domach jest tożsamo co w domach włościanina innych części krajów polskich z różnicą, że widać daleko większy porządek, czystość i bogactwo. Niemiec tutaj jest karczmarzem. Rozumiemy to, wyciąga on krew z napiorkowskiéj ludności polskiéj. Strażnik celny, weteran armii Germanów nad granicą naszą, przez dumę narodową czy też w swoim duchu pojmowane gospodarstwo krajowe, nie zapytał mnie, kto jestem? gdzie dążę? choć wiedział, że przybyłem z Królestwa Polskiego. Był on pewny, że jestem kontrabandzistą; przypuszczał, iż powiększę ilość ulubionego ich *Geldu*; aby więc niepopełnić grzechu przeciw germanizmowi, nie zaczepił mnie. Wyznaję, że wywiozłem z Prus tę tylko książkę, a do panów, moi czytelnicy, należy osądzić : czy jest defraudacyą.

W mieście pruskiém Niborku zastałem orszak pogrzebowy na cmentarzu. Powierzchność niemiecka tych ludzi uwiodła mnie, że są niemieckiémi ich książki, ich śpiewy nad grobem. Nieprawda jednak; mają oni książki polskie, tylko odbite głoskami gockiémi, nie łacińskiémi. Jako *luteraki* (ich wyznanie), sami bez księdza śpiewali pieśni mogilne, w których prosili Boga o « zmioowanie » (ich wymowa) nad nieboszczykiem. Dziwna, że wada języka przeszkadzająca wymówienia głoski *ł*, u nas rzadko spotykana, tam jest powszechną klęską wymowy; *ł* jest niepodobieństwem dla Prusaka Kaszuba i Szlązaka. Zapewne to skutkiem ich znajomości zablizkiéj z mową niemiecką, która wyłączyła tę głoskę sławiańską. — Zdarzają się u nas głupi ludzie, uśmiechający się, szydzący niekiedy z niezwyczajnych wyrażeń, z dziwnego wymawiania

naszych Prusaków. Żaden z nas niezastanowi się nad szlachetną ich wiernością staroświecczyznie polskiéj; nie wspomni, że tamtejszy mazur musi się zniemczyć doskonale, jeżeli chce być człowiekiem wykształconym i znaczącym. Te błędy głupców dzisiejszych są echem błędów ludzi najrozumniejszych niegdyś naszego narodu, którzy, czy jako królowie, czy jako wodzowie i urzędnicy kraju pierwsi odstąpili Niemcom te kraje mazowieckie, można powiedzieć najbardziéj polskie kraje nadbaltyckie, co mówię! odstąpili sam Baltyk, nasze jedyne morze, tę odchłań naszych bogactw handlowych.

W Niborku jeszcze poznałem ważne jestestwa ludzi uczonych, ale mało nauczonych : Polaków, wychowanych w niemieckich fabrykach głupienia Polaków. Kapitan Uklański pociągnięty, jak mówił, moją powierzchownością polską, moim strojem, przyszedł do mnie, kiedy oglądałem zamek niborski, z zapytaniem : «zdaje mi się, że pan z Polski?» Język jego, który tutaj wierzytelnie przekopijowałem, przypomniał mi ten akt nieszczęśliwy Konrada księcia mazowieckiego, którego ofiarą jest Uklański, są wszyscy mieszkańcy téj ziemi, doskonali Polacy, wszyscy prawie z nazwiskami na *ski* i *cki*. U nas to w Królestwie, a jak mi się zdaje we wszystkich częściach Polski, szlachta stara, właściciele wiosek albo i dzierżawcy nie nazywają sami, wzbraniają nawet chłopom nazywać się po polsku na *ski* i *cki*, pozbawiają ich cechy Polaków, Sławian, tak nas uszczególniającéj, tak rozpoznawczéj wszędzie; narażają nawet ich na łatwiejszą germanizacyą, któréj ofiarą stali się wszyscy Wielcy (Welke), Zielonki (Selenke), Bartołdzi (Bertold), Goli (Holli), Nałęcze (Nolentz). Widać więc, że głupstwo gorszém jest nawet od germanizmu; Niemcy bowiem posiadający talent—nawet ja muszę im talent przyznać—niszczenia narodowości, nikczemnienia Polaków, dozwalają swoim parobkom polskim przywłaszczać sobie godła Polaków, wtenczas gdy brat głupi bratu go zaprzecza i zabrania. Kapitan Uklański powiedział mi, że ma dwóch synów; że jeden z nich gospodaruje pod Wielburkiem, a drugi choruje w Królewcu, jako *Naturforszer*. Przedewszystkiém temu bie-

dnemu ojcu Uklańskiemu wytłómaczyłem, iż ma syna *badaczem natury*. Przystępując do powieści o tych dwóch młodych Uklańskich, któremu z nich dać pierszeństwo? czy badającemu naturę naukowo? czyli badającemu ją płużycą i broną? ja odważę się oświadczyć za ostatnim. Zdaje mi się, że każdy człowiek pracujący nad jakiemikolwiek naukami, powinien raz przynajmniéj zwrócić się do polityki. Jest to nauka, jak niektórzy twierdzą, urojona; człowiek z umysłem wprawnym, podług nich może przebiedz jéj systemata w kilku godzinach; każdy tedy, jeśli to prawda, winien się nią zająć, choć tak krótko. W dzisiejszym że stanie jéj teoryi, (to już i podług mnie jest niewątpliwém), każdy powinien sobie zrobić pytanie: czy być kosmopolitą? czy téż człowiekiem niby mniejszych wymiarów, należącym do jednego narodu? Gdyby nasz *Naturforszer* zrobił sobie to pytanie? gdyby je rozwiązał, jak rozwiązać powinien, że jest Polakiem, jako Uklański, i jako urodzony w polskim kraju między Polakami, uczułby może żądze nie tyle wysilające, być użytecznym Polsce; byłby się nie zapalił do badania natury po niemiecku, to jest latając, koniecznie piechotą i z matelzakiem, po wszystkich kątach Europy, jak uczynił, jeżeli można wierzyć kapitanowi Uklańskiemu, czém się wycieńczył i choruje w Królewcu na suchoty. (Zwyczajna to, że lud przenarodowiony małpuje swoich panów, najczęściéj chwyta ich myśli najfałszywsze).

Ci Prusacy, szczególniéj Polacy Prus starych, są narodem wielkich nadziei dla ojczyzny naszéj. Pobożni, pracowici, zdolni, bo porządni, poważni, bo myślący, mało rozumujący o sobie, bo ludzie czynu (choć do tego przyczyniło się i władztwo Niemców), zamożni, przez to bezpieczni, są przeznaczeni do przodkowania narodowi naszemu. Nie ma w nich chytrości podlaskiéj, niedbalstwa mazowieckiego, lekkomyślności chrobackiéj, ospalstwa szlązkiego i wielkopolskiego, wad odznaczających nasze plemiona. Najpodobniejsi są do Kujawian gostyńskich i Chrobatów z okolic Puław i Kazimierza, których znalazłem w stanie zadowalniającym, szczególniéj też pierwszych.

ROZDZIAŁ III.

Mówiąc o Niemcach, nie można, zdaje mi się, nie myśleć o kosmopolityzmie. Oba te wyobrażenia stają przy sobie równocześnie; jedno chodzi za drugiém jak cień prześladowczy. Pozwolicie mi więc, panowie, poświęcić temu kilka wierszy. Mnie się tak zdaje, Chrystusowa myśl połączenia narodów, powszechnego zbratnienia i ujednakowienia, tak dobrze znajoma wyższym i pospolitym usposobieniom, jest, trzeba powiedzieć, prawdą wiekuistą a fałszem czasowym; jest błędem powtarzanym codziennie, codziennie stósowanym do życia, co ważniejsza, mniéj więcéj, w równych przeciągach czasu popełnianym na całéj kuli ziemskiéj. Jéj hasłem, szczególniéj między ludźmi, jakich jest więcéj, którzy więcéj gadają niż robią, jest to zdanie w dzisiejszym stanie obyczajów i różnorodności wyobrażeń, zupełnie nie do zastósowania, zdanie: « czy on żyd, czy chrześcianin, aby uczciwy człowiek. » I podług mnie, niewątpliwie, jeden Murzyn uczciwy więcéj wart niż wszystkie łajdaki białe. Ja tak utrzymuję na pewne; ale przyprowadzeni do mnie dwaj: rodak i cudzoziemiec, z témi saméni ile to być może przymiotami, jeżeli będą żądali mojéj pomocy, przyjaźni, towarzystwa, ja dam piérwszeństwo rodakowi, do rodaka wyciągnę rękę. Dla czego? Podług mnie, wystarcza ta jedna przyczyna, że on mówi moim językiem. On to, jeżeli upadnę, i będę musiał żebrać wyciągniętą ręką, piérwéj zrozumie moje wołanie niż cudzoziemiec. Błagania mojéj nędzy piérwéj go przeszyją niż cudzoziemca, bo ten nawet nie będzie wiedział że mnie idzie o to, że nie jadłem; piérwéj on, niż cudzoziemiec, oceni moje usposobienia, pierwéj je wynagrodzi. Daléj, w rzeczach nie tak bardzo istotnych, rozmowa z rodakiem uwalnia mnie od tego natężenia uwagi, pamięci, jakiego potrzebuję ja i każdy używający języka cudzoziemskiego, choć rozumianego;

zna mój rodak wszystkie przyjemności zawarte w naszéj mowie wspólnéj, w tym niewidocznym ale wielkim magazynie przyjemności, bierze je do rozmowy dla siebie i dla mnie; wreszcie, usposobienia rodaków są najpodobniejsze, to samo ich rozśmiesza i rozrzewnia, jedna pieśń jest ich ulubioną, jedno kochają wspomnienie. Te pobudki przychylności pomiędzy rodakami są wspólne dla prostaka i wykształconego, lecz ten ostatni ma jeszcze inne wyczerpnięte z doświadczenia wieków, musi być niewolnikiem teoryi. Chcę ja tu mówić o usiłowaniach kosmopolitycznych, o zamiarach obywatelstwa świata, poniekąd, a raczéj na pozór przeciwnych myśli narodowéj. Chcę wyjaśnić, czy mają one zasadę pewną, sprawiedliwą? czy ich ziszczenie jest dla nas prawdopodobném, i kiedy? Chcę przedstawić pod jaką one postacią objawiały się dotąd, jak były? jak są wprowadzane w wykonanie? na jakim punkcie téj drogi pozostawiają nas dzisiaj? Chcę tu wskazać, chcę udowodnić, że nie dosyć jest być w każdéj chwili, w każdym czynie człowiekiem obywatelem świata, że trzeba, przystępując do życia, w dobréj wierze, na prawdę, jak najstanowczéj, przyłączyć się do jednego narodu, z nim współdziałać, z nim głównie być solidarnym, że tym tylko sposobem czyny nasze mogą być rzeczywiście dodatniemi, rzeczywiście pożytecznemi. Różnica języków, podług mnie, nie jest płodem sztuki, ale przyrodzonego porządku. Czy języki stanowią granice narodów? o tém ja nie wątpię: potwierdza to historya, potwierdzają wypadki dzisiejsze. Kto zaś waha się zgodzić na to, odséłam go do tych milczących i uśmiechających się na zapytania nasze postaci, które żyjąc pomiędzy nami, nie chcą wiedzieć: jaką jest mowa, obyczaje i życie nasze?

Istotnie, nic innego tylko trudność porozumienia się odosabnia narody i gromadzi w związki pojmujące się. Jak tedy naturalną jest różność języków, tak i naturalnémi wszystkie następstwa rozdziału (skutkami rozdziału są zazdrości, nienawiści, wojny, i t. d.). Taki tu stan społeczeństw zastaliśmy, taki ciągle przedstawiają nam i dzieje. Opierając się tedy na przeszłości, i na tém co widzimy, możnaby już tutaj zakończyć

nasze rozumowania, zaprzeczeniem myśli kosmopolitycznéj i nie trudzić się więcéj. Dążenia wszakże, wskazane nam przez najświętszą naukę Chrystusa, dążenia objawiające się codziennie, mianowicie u ludów i ludzi wykształceńszych w różnych narodach; widoki zbratnienia i uspokojenia, dla których tyle poświęcano, tyle cierpiano, nie mogą być nic nieznaczącémi. Poddają one wątpliwości wiekuistość odosobnienia narodów; wskazują przynajmniéj iż nie jest marzeniem, dziwactwem, fantazyą myśl zbliżenia, zjednoczenia i uspokojenia narodów. Wiekowe te zamiary, jak każde zamiary spółeczne, rzeczywiście mogą ziścić się, jeżeli tego zapragnie większość ludzi; nie ma wcale powodów wstrzymujących nas od przypuszczenia skutku. Można zapewne powiedzieć, że zamysły kosmopolityczne, przypisywane Alexandrowi Macedońskiemu i Napoleonowi I^{mu}, zamiary pojmowane i pochwalane przez ich ludy, zamiary składające nawet i dziś drogą własność każdego narodu myślącego samodzielnie; jako, jak się zdaje, wykonalne nie były, i nie są występnémi przeciw Bogu, choć niezawodném jest, że były i są takiémi przeciw czasowie cierpiącym, poległym. Można, zdaje się, przewidywać, iż jakkolwiek dalekim, nie jest jednak w odległości nieskończonéj ten czas, w którym ludzie uodpowiednią, mniéj więcéj uwspólnią swój duch i jego organ, przewidywać urzeczywistnienia tych ideałów dawno znanych. Jednak morduje się pojęcie, ścigając tę myśl po niepłodnych wyniosłościach rozumowań, równie jak śledząc ją po płodniejszéj na pozor równinie doświadczenia. Rozumowania co do tego, można powiedzieć, są labiryntem. Praktyka życia narodów przedstawia daleko smutniejsze widowisko; daje przykłady ciągłych usiłowań siły przeciw sile, przykłady walk dumy narodowéj i zarozumiałości. Coż powiedzieć? chrześcianie nawet policzyli strategią i taktykę do umiejętności piérwszego rzędu. Trzeba jednak wyznać to, co stanowi ważną różnicę chrześcian od innych ludów kuli ziemskiéj, że i droga umysłowego przekonywawczego zjednoczenia i uspokojenia nie zupełnie jest zaniedbaną w Europie.

Widzimy księży odpływających w dalekie końce świata;

słyszymy często o ich umęczeniu za chrystyanizm. W każdym razie bardzo mało zrobiliśmy w tym kierunku mimo naszą starożytność, i to jest przyczyną częstych powątpiewań i trwogi o zjednoczenie. Co do nas, nie odstąpimy od myśli prawdopodobieństwa zjednoczenia, którą już objawiliśmy. Lecz kiedy, i jakim sposobem może to być wykonaném? i czy dziś właściwém jest postępować podług teoryj życia, które narodzą się razem z połączeniem narodów? postaramy się objawić w następującym wywodzie.

Historya wskazuje nam zaraz kilka meteorów ludzkości, kilku bohaterów, pragnących upodwładnić sobie ludzi i uszczęśliwić ich. Ukazuje nam, co ważniejsza, całe ludy, które pragnęły rozszérzyć jak najdaléj i rozszérzyły w pewnym stopniu swoją władzę, wyobrażenia, które myślały kosmopolitycznie. I ci bohatérowie, i te ludy działały w dobréj wierze, iż były najlepszémi i najmędrszémi, szły i wysélały swoich synów, by przymuszały inne ludy do przyjęcia ich myśli, wychodziły ze swoich granic, zdobywały, deptały, niszczyły, biegły od jednego końca ziemi do drugiego. Wiemy już jakie były skutki tych wszystkich usiłowań : krew daremnie przelewano, i bardzo mało co więcéj. W tym wielkim celu przedsiębrane były wojny zdobywcze przeszłości, taki sam mają charakter dzisiejsze dążenia ludów. Miałoż to wszystko jaką zasadę? czy ma? czy może mieć ją dzisiaj? Możeż oręż kiedykolwiek być używanym sprawiedliwie zewnątrz ojczyzny, to jest przeciwko ludom innego języka? Zapytuję się o to tylko, bo przypuszczam za wiadome i bezsporne, że przymus orężem jest sprawiedliwy przeciwko mniejszości nieposłusznéj wewnątrz kraju. Czy wolno, mówię, komuś narzucać szczęście? przymuszać go do pożytków rozumu? A jeżeli rzeczywiście jest ktoś, są całe narody mogące przodkować, mająż one prawo siłą narzucać swe nauki wszystkim ludom? jakichże sposobów użyć mają, aby były wysłuchanémi? Mogąż one wykonywać przywiléj posłannictwa orężem? mogąż spokojnie ofiarować swoich synów, w przekonaniu o swojéj wyższości? Wolnoż im napadać, opanowywać narod, przypuszczany za niższy? Jak tu sądzić? co

ważniejsza, jak postępować wśród tych znakomitych wątpliwości?

Musimy zgodzić się najprzód, że nowe myśli, nowe uczucia bardzo trudno wchodzą w umysły i serca, dla bardzo wielu i bardzo różnych przyczyn; że potrzeba wieków ciągłego postępu do pogodzenia wyobrażeń i wszystkiego na kuli ziemskiéj dobrowolném przekonaniem. Zazwyczaj praca około tego jest niewidoczną, owoce jéj dojrzewają bardzo późno, ztąd to, podług krótko-widzących, jest ona bezużyteczną. Z drugiéj strony, nie możemy zaprzeczyć, że rozkaz rycerza, któryby był zdolnym uczynić sobie podległymi, jeżeli nie wszystkich ludzi, to przynajmniéj ich większość, wykonałby to wielkie dzieło w czasie daleko krótszym, może np. w lat tysiąc. Gdyby potrafił zaszczepić w swoich potomkach, w swoim narodzie, szlachetne swoje dążenia i zdolności, i tak zapewniłby skutek téj sprawie ogromnéj. Jakże postępować? powtarzam to wielkie pytanie, gdy nie masz dzisiaj żywota tysiącletniego, szczególniéj wśród prac obejmujących miliony, a potomkowie geniuszów zazwyczaj nie są zdolnymi przedłużać ich wielkich czynów, gdy życie wielkich ludzi widocznie nie wystarcza do upodwładnienia sobie wszystkich i zaprowadzenia ich tam gdzie dążą, nie wystarcza do pogodzenia tysiąca interesów miłości własnéj, miliona zawiści, wywołanych w milionach rozkazem jednego? Jak postępować, gdy tak zdolni bohaterowie, jak Alexander Macedoński, Karol Wielki, Napoleon, niepotrafili wykonać tych wielkich zamiarów, niebyli wstanie objąć całéj ludzkości, ani widzieć skutków prac przedsiębranych dla niéj; gdy ani ich potomkowie, ani ich ludy, niegdyś tak niby dobrze pojmujące i popierające myśl wielką, nie postępowały daléj i z przyczyn koniecznych: że nie wiedziały, dokąd? i którędy? co myśleć, co praktykować, wśród tylu niepowodzeń, tylu klęsk w rzeczy, jak się zdaje, oczywistéj i świętéj? Mnie się zdaje, że tutaj to rozpoczyna się zupełna ciemność umysłowa i rozdroże. Zdaje mi się, że tutaj każdemu zrywa się przędza jego myśli, wikła jego systemat: w miarę zdolności każdy tworzy sobie jakąś przyczepną teoryę.

Silniejsze i zdolniejsze głowy, doszedłszy do tego punktu bardzo praktycznego, wśród innych ważnych zagadnień, zapytują się co robić, np. z narodem, okazującym wszystkie cechy gnusności lub zepsucia, i wstręt do poprawy; który ma wybryki nieporządne; w którym nie można założyć obserwatoryiów, zebrać roślin, obejrzeć zwiérząt, wymierzyć łuków kuli ziemskiéj, wykonać doświadczeń meteorologicznych; w którym nawet nie można przejechać bezpiecznie, to jest bez doznania krzywd lub zgorszenia się, co robić? W odpowiedzi na to, zdania są podzielone.

Jedni teoretycy mówią, iż najlepiéj opanować go, wykształcić, poprawić; i w poparciu przytaczają Boską zasadę panowania dobrego. Inni, iż wysłać missyjonarzy pokornych, dać im książki, pomoce przekonania. Przedewszystkiém ostatni, by zbić mniemania piérwszych, zwracają uwagę, że rozum i szczęście są rzeczy bardzo względne, rozmaite, jak miejscowość; objaśniają, że pomiędzy rozumnémi prawami i ustawami są i takie, które mogą rządzić wszystkimi ludźmi, mogą być jednakiémi wszędzie; większa ich półowa wszakże musi być rozmaitą. « Dojrzeć, mówią, i przepisać te prawa powszechnie wspólne, jest zadaniem ogromném, w najwyższym stopniu uczoném; potrzebuje ono poznania wszystkich ludów kuli ziemskiéj, pojęcia ich potrzeb. Samo z siebie wynika, iż to dzieło dostępném jest tylko dla szczupłego wyjątku. To nie wątpliwa, że żaden naród, w całym swoim składzie, nie był i nie będzie zdolnym przepisywać warunków zjednoczenia, chociaż może być zwolennikiem téj wielkiéj myśli, popierać ją. Nam się zdaje, mówią wciąż przeciw-wojenni, iż nie ma narodu niedostępnego dla pokory. Podług nas, mówią, myśl nowa, koniecznie zawstydzająca dawne wyobrażenia narodu, może zawsze wejść w niego; lecz tylko przez usta pokory. Tym tylko sposobem podawana, może być wysłuchaną, przyjętą; może przebyć archipelag starych wyobrażeń i uczuć, głowę i serce, osiedlić się w nich jak najstateczniéj, rozognić stronnictwo, zrodzić nawet fanatyzm. Są, mówią ci teoretycy, narody otoczone murami, odpychające wszystko, unikające najlepszych stósun-

ków, mordujące przychodniów; wiadomém jest przecież, że i tam weszli misyjonarze. A dopiéro wtenczas ich pomordowano, kiedy objawili zamiary nie duchowne ale światowe, zamiary korzyści materyalnych; albo kiedy zaczęli używać innego środka nieskromnego i pobłażającego przekonania. Wtenczas ich pozabijano, kiedy, odsłaniając maskę, ukazali się jako poprzednicy zbrojnych napastników. » Nie pojmują oni, by pokora chrześciańska mogła usposobić do mordu kogokolwiek choćby najdzikszego. Jeżeliby nawet tak było, wśród ludów wykształconych nie zabraknie, podług nich, szlachetnych ludzi, prawdziwych chrześcian, którzy przejęci wielkością zamiaru, przyjmą niebezpieczeństwa missyi, aby zapewnić jéj korzyści dla świata; dla czego, podług nich, nie ma powodu bać się, aby dzieło postępu ludzkości było wstrzymaném lub zbyt opoźnioném.

Co do mnie, ja także utrzymuję, że, gdyby dziś była większość ludów, zgadzająca się w dobrém, użycie siły przeciw mniejszości, mającéj inne dążenia, byłoby sprawiedliwém; lecz gdy właśnie takiéj większości nie ma dzisiaj na ziemi, ani można spodziewać się jéj tak prędko, mniejszość tedy pojmująca interes całéj ludzkości, jak mniejszość w narodach pojedyńczych, środkami przekonania zmierzać powinna do zmienienia się w większość, do uczynienia swoich zdań własnością większéj połowy ludzi, jak najliczniejszéj większości. Usiłowania wszystkich ludzi wyższych i szlachetniejszych, wszystkich poświęcających się za granicami Europy, w tém jedynie zawierać się powinny, wszystkie działania za granicami ojczyzny powinny mieć ten charakter. Rzeczywiście téż działania ludów cywilizowanych w tym celu i w taki sposób są prowadzone. Europejczycy to, w Azyi i innych częściach ziemi, pragną upowszechnić nasze wyobrażenia w tych krajach odległych; Anglicy mianowicie, przodkujący pod tym względem, nie mają innego celu; chcą upowszechnić w milionach indyjskich swoje, nasze wyobrażenia europejskie. Obojętném jest dla nas, że dotąd, mimo upływ wieków, bardzo mało zrobiono dla myśli powszechnéj, że za-

wojowania Napoleońskie i bezbożność francuska XVIII° wieku podobnémi są do cofania się; że latynizm papieski i Jezuici wydają się nam myślami wstecznémi, fałszywémi. (Fałszywie zdawało się kiedyś, iż aby pogodzić miłość własną narodów, trzeba wybrać język umarły, uczynić go panującym w wyższych klasach, późniéj przeprowadzić go do niższych, i następnie do całych ludności. Papieże, jak wiemy, doszli na téj drodze dosyć daleko; prócz saméj tylko Rossyi i Turcyi, cała Europa przyjęła ich widoki, przyjęła je nawet i Ameryka). Obojętna dla nas, że wszystko to upadło i dziś posługuje tylko do okazania, iż zarozumiałość narodów jest równie silną jak zarozumiałość osobista, tylko przekonywa lepiéj jak trudno znaleźć prawdę, jak mało rozumu kosmopolitycznego między ludźmi; przekonywa o jakichś przewrotach, przewałach w rzeczach ludzkich, wpaja na nieszczęście wyobrażenie o ich potrzebie. Czyny tylko mają znaczenie w świecie. Wielkie odkrycia, wielkie wynalazki są prawdziwie ważnémi dla ludzkości; poczekajmy co zrobią koleje żelazne, co zrobią udoskonalone balony. Przybliżą ludzi do siebie, to już pewno wiemy; najwięcéj tedy przyłożą się do ujednakowienia ludzi, uwspólnienia ich myśli, do ich pogodzenia; ale i to nie tak prędko stać się może jak myślą, jak są przekonani lekkomyślni. Poczekajmy więc spokojnie. A chociaż widzieliśmy już co się stało z latynizmem i w ogóle z myślą kosmopolityczną, w różnych czasach, nie chcielibyśmy i nie spodziewamy się być przy tém, jak barbarzyńcy Azyi będą zwyciężać Europejczyków, idących ku nim z zamiarami szlachetnémi, z zamiarami wyrównania pojęć całéj kuli ziemskiéj. O by nie upadli w swojéj pracy ci szlachetni bohatérowie, którzy, przypisując sobie wyższy rozum i uobyczajanie, sądzą swoim obowiązkiem nie dać się wyprzedzić nikomu w posłannictwie, idą tam wśród niebezpieczeństw, zawierają traktaty, ustalają się tam, dają sposobność przypatrzenia się sobie, szukają możności nauczania! Niech wszystko co jest oparte na umowach z dzikimi, każda twierdza, każdy port wybudowany na brzegach nieznanych, mianowicie też każda droga żelazna, poprowadzona gdzieś w Azyi lub

w Afryce, niech stoją, rozwijają się! Są one témi dobrémi środkami mniejszości, które zmierzają do wykształcenia większości dobréj, są zupełnie usprawiedliwionémi. Twierdze i porty są ambonami naszych pojęć; koleje żelazne tam poprowadzone przenoszą nasze słowa jak najdaléj. Wojska, strzegące bezpieczeństwa tych stanowisk, wprowadzone tam na mocy traktatów, nie mniéj są usprawiedliwionémi. Wszystko to zdolném jest podejść pod zasadę łagodnego przekonywania, pod zasadę chrześcijańskiego misyonaryzmu. Wszystko to — powtarzam — jest usprawiedliwioném, jest dobrém, jeżeli ma cele moralne, nie zaś niższe cele materyjalnych korzyści.

« Jest jeszcze, odzywają się trzeci z zasługujących na uwagę, jest jeszcze, mówią, inna przeszkoda uspokojenia. Dzieje przeszłości i najświeższe wypadki zdają się wskazywać, iż pojedynczy ludzie i całe narody nudzą się jednostajnością pokoju; szukają urozmaicenia w niebezpieczeństwach i walkach, szukają w bojach praktyki swojéj dzielności. »

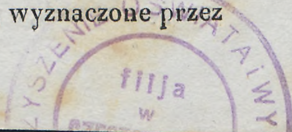
Na to stronnicy pokoju odpowiadają im trafnie, iż człowiek ma w przyrodzeniu dosyć żywiołów swéj dzielności; trzeba tylko aby ich nie unikał.

Tu nakoniec występuje czwarte, podobno najliczniejsze stronnictwo, z jakiém żyjemy i mówimy codziennie, o jakie przynajmniéj co dzień ocieramy się. Mówi nam ono, że po tysiącach lat, którym znajome były myśli nasze, po wiekach postępu (co jest ważniejsza, i co powiedzieć trzeba), społeczności jak upadały, tak upadają, w skutek zużycia, lub okazują wiele wad pierwotnych, istniejąc. Ztąd oni wywodzą niepodobieństwo stanąć na zaszczytnym wierzchołku Babelu cywilizacyi, na mogile tysiąca historyj, tysiąca literatur; uznają za niepodobieństwo utworzenie ze wszystkich interesów, dążeń i pierwiastków tego świata jednéj harmonijnéj całości; zastósowują prawa Kopernika co do obrotu słońc i kul w przestrzeni, prawa wirowe do ludzkości, i nauczają że człowiek, z wysokiego stopnia udoskonalenia, nie przestanie nigdy spadać na sromotny padół głupoty. Opierają się pod tym względem na doświadczeniu tysiąców lat, które

jedynie zdolném jest ich przekonywać, a to doświadczenie na nieszczęście potwierdza ich nauki. Ci teoretycy zwyczajnie, po należytém wygadaniu się, pozostawieni są bez odpowiedzi. My téż zostawimy własnemu losowi ich zdania. Co do przeludnienia, które, zdaniem niektórych, czyni miecz potrzebnym, wszyscy rozsądniejsi zgadzają się, że przyrodzenie mędrsze od nas wszystkich, nie wydałoby tylu ludzi, tylu zwiérząt, aby wszystkich ziemia nie była zdolną wyżywić.

Gdy tedy, podług poprzedniego wywodu, tak trudném jest zbratnienie i uspokojenie, gdy dopiéro po tylu wiekach, przewidujemy jego ziszczenie się właściwém, stósować dzisiaj teorye braterstwa, jest to samo co wyciągać rękę do szachraja z Franciszkańskiéj ulicy i Waszyngtona lub jemu podobnych, co do cygana z południowéj Rossyi i Szatobryjana. Nikt lepiéj jak Anglicy nie zachowuje téj ostrożności w stósunkach z ludźmi. Po nich, nikt lepiéj jak Rossyjanie. Co do mnie, jak to, panowie, raczyliście przewidzieć zapewne, oświadczam się za teoryą drugą z porządku, za teoryą postępu systematycznego, zasadnego i z ostrożności tylko zbrojnego. Podług mnie, czekając na ten najważniejszy wypadek w świecie, nam w Europie potrzeba ograniczyć się rozciągłościami, językami (osobno Sławianie, osobno Niemcy, i t. d., i t. d.) solidarnie, to jest jeden *za* i *dla* drugiego żyć, uczyć się doświadczeniem wszystkich ludzi, uczyć się prawdziwych umiejętności i sztuk prawdziwie nadobnych, uszlachetniających. Nadewszystko nie zapominać o dzielności ciała, przy wykształceniu umysłu. Czekać cierpliwie, po ludzku i po chrześciańsku, ujednakowienia, za pomocą związków ułatwionych kolejami i balonami, za pomocą nauk prawdziwie oświecających, istotnych umiejętności. W takiém odosobnieniu narodów jest teoretyczna przyczyna większéj życzliwości dla rodaków niż cudzoziemców, teoretyczna przyczyna pamięci o swoich. Wszyscy ludzie zdolniejsi tak pojmują myśl postępu; w tak wielkiéj odległości widzą jéj ziszczenie. Zapamiętali tylko postępowi są przekonanymi, iż jutro może się to spełnić, i dziś zapalają wojnę w tym celu; niszczą oni dziś zaraz granice, wyznaczone przez





narodowości; co gorsza, równają usposobienia, powołania króla, ministra — z powołaniem bilardowego markiera; urównoważniają ich prace; a gdy są w stanie wykrzyknąć: « obywatelu stróżu! » zdaje im się że dzieło zbratnienia jest już dokonaném. (Mówię tu o królach prawdziwych, władzcach zajętych sprawami kraju, nie o takich jak król S., który wyłącznie męczy się botaniką, zostawiając interesa odpowiedzialnym ministrom, przez co zachwycił wszystkich ludzi — osłów. Rzeczywiście, takie postępowanie podobne jest do usiłowań czeladnika szweckiego, pragnącego zrobić zégarek.)

Nadchodzi pora powiedzieć coś o kosmopolityzmie naszych Niemców. Któś powiedział, że ostatnim czynem rycerskim Germanów było chwilowe podbicie Palestyny; że po złém powodzeniu na tém polu, Germanie całkowicie zniechęceni czy znikczemnieni, przyjęli inną taktykę, aby się rozkurczyć, by dać *Wolsztand* (dobry byt) swojéj zamożności, taktykę podstępu; że ich duch rycerski przed kilkoma wiekami zagasł; że wojny 30^{sto} i 7^{mio} letnia nie były wojnami Niemców ale Sławian; że Hus był Czechem; że Austrya, jak zawsze wyprowadza Sławian na rzezie, tak i wtenczas wystawiła ich przeciw Adolfowi Szwedzkiemu; że Fryderyk Wielki z Prus i Pomorza, krajów polskich, miał dobrych towarzyszów swojéj wytrwałości, niemi zwyciężał. Nie rozbierając czyli i jak daleko to jest słusznéin, muszę objawić pod innym względem moje przekonanie, to jest, że zdobycie Sławiańszczyzny na rzecz Niemców odbyło się wcale nie orężem, ale przez podstęp, suchą drogą (chemiczne wysłowienie) oszustwa, pokazywaniem gruszek na wierzbie. Taktyka do tego była i jest wyłączna; armie do tego były i są wyrzutki, czyli śmieci Germanii. Niemiec, po wejściu między Sławian, przedewszystkiém uczaja się, to jest nie mówi nic a robi i koniecznie robi swoje; wszystko on germanizuje, i odurza Sławian wystawą materyalną, posadą naukową, głupstwami wszelkiego rodzaju odurza. Ustami zgadza się na wszystko, ale czynem zgadza się tylko na germanizm; podkrada się pod zasadę Chrystusową miłości bliźniego, ciągle ma ją w ustach, a tym czasem błądzi jakoś rękami po naszych

kieszeniach, i często robi w nich wielkie spustoszenie. Możnaż temu dziwić się? Golec, łapserdak pragnie tylko dostatków, aby się usadowić *fest* (mocno), teorye zaś odkłada na potém: zresztą wszystko zostawia czasowi, nie spieszy się z niczém, robi doskonale *langzam*. Czyn zgermanizowania nas ma kilka epok, oznaczonych właściwémi cechami. W Królestwie Polskiém jest pierwsza przy swoim końcu, to jest germanizm zyskał głowy, jak tu je nazywają, rozumujące; choć nie zachwycił serc jeszcze, odurzył, zniewolił do stronnictwa systematów niemieckich, a prawdziwie niemieckich bo niezrozumiałych. Cześć i chwała wytrwałości naszych królów ostatnich, dalsze epoki germanizacyi nie rozwiną się! Księstwo Poznańskie jest w epoce drugiéj. Tam germanizm wykonywa wielkie roboty przygotowawcze: upowszechnia język, przywięzuje masy, warstwy niższe, nieoświecone, nie śmie jeszcze powiedzieć Poznańszczanom wręcz, że są *Dajcze* (Niemcy), ale mając dobry płaszcz prusyanizmu, uczy ich, że powinni pamiętać, *das zy myt dajczem Sztate ferbunden zynd* (iż są połączeni z krajem niemieckim). Taki język był w ustach komisarza na sejm Poznański, zdaje mi się roku 1840. Prusy Zachodnie są na granicy między drugą i trzecią epoką. Szląsk, ach! ten Szląsk nieszczęśliwy i Prusy Wschodnie, godne równéj litości, są w epoce trzeciéj. Tam Germany nie wahają się powiedzieć do miejscowych, że są *echte Dajcze* (doskonali Niemcy). Pomorze (wiarołomne Pomorze!) jest w epoce czwartéj, prawie zupełnie zniemczone, prawie czuje germanizm.

ROZDZIAŁ IV.

W Niborku spotkałem jeszcze kupca Maleckiego, mówiącego po polsku, który niegdyś zapewne był Małeckim, i dzięki zakończeniu prawdziwie polskiemu, zgermanizował swoje nazwisko tylko o jednę kryskę.

Jedna kryska, dodana lub odjęta, mało stanowi dla świata, mało stanowi w nazwisku, téj urojonéj posiadłości Maleckiego.

Dobra takie, w istocie, nic nieznaczą dla nikczemnego kosmopolity bez ojczyzny, nic dla ubogiego walczącego z potrzebami, nic dla materyjalnego dorobkiewicza; są one jednak istotnémi, wiele znaczącémi, dla człowieka z usposobieniem wyższém szlachetném, mianowicie w tenczas, kiedy zaspokoi potrzeby. W tym kierunku, podług mnie, jest wiele z estetyki naszego bytu : historyczność imienia, nadzieje sławy.

Małecki, jak mi się zdaje, nie czytuje historyi, szuka przyjemności w życiu z żoną, nie umiejącą ani wyrazu po polsku, dosyć nawet chytrze patrzącą na Polaków; szuka szczęścia w pomnażaniu niemców Maleckich i majątku dla nich.

Kiedy usiłowałem zwrócić jego uwagę na pochodzenie i jego grzechy przeciw polszczyznie, uśmiechnął się.

W Niborku poznałem także pocztowego urzędnika Wilczka, który wszakże, mimo swoje zdolności językowe, *ferszteit gar nychc* (nie rozumie nic) po polsku. Wspomniałem mu o Wilczku, oficerze wojsk polskich, który skończył życie samobójstwem szlachetném, który umarł po rycersku.

Wilczek Niborski nie słyszał nic o tém : (niedziw!); przyznawał on się do pochodzenia polskiego; ale że nie umie ani wyrazu po polsku, przyznawał się w połowie.

Uśmiechnął się prawie tak jak Malecki, kiedy mu powiedziałem, iż powinien uczyć się po polsku od mieszczan i włościan Polaków.

Wilczek ten jest Niemcem doskonałym, małpuje fanfaronadę mowy niemieckiéj, aż do niezrozumiałości, niewymawiania *r*. Jednak ma w sobie i polską cechę, choć jednę : skłonność do francuzczyzny : chętnie on mówił po francuzku.

Zresztą, człowiek młody, wesoły, zajęty był rozmową z pannami tłustémi, wesołémi, o krótkich rękawkach.

Położenie Niborka nie jest bardzo piękne, ani obronne. Zamek tylko stojący na górze, zapewne usypanéj, jest dosyć niedostępnym ; postawiony podług starych zasad obrony, mógłby być dobrym i dzisiaj, w potrzebie. Jest on bez rowów,

ostrokołów i bastyjonów; góra jego wszakże może być zrobiona bardzo trudno dostępną.— Z ludności, rolnicy i w ogóle mieszkańcy ulic bocznych Niborka są Polakami; rynek posiadają majętniejsi Niemcy przybysze, albo i Polacy zgermanizowani, którzy zmienili nazwiska krótkim sposobem, i tak: Płonka zmienił swoje nazwisko na *Plonke,* Letki na *Liedtke.* Kraj pod Niborkiem jest piaszczysty, pagórkowaty, okryty lasami, wynowiony na pole w miejscach szczerkowatych.

By pojechać daléj, wsiadłem do czystego i lekkiego dyliżansu, pokrytego płótnem żołto lakierowaném. Konduktor nie rozumiał nic po polsku, a zatem zapytywać go musiałem po niemiecku; odpowiedzi jego miały w sobie takt doświadczenia i drzymność niemiecką; język zwyczajny w niższéj warstwie Niemców.

Mijamy kraj równiejszy, urodzajniejszy, i przyjeżdżamy do miasta Olsztynka (Hohenstein), mniéj porządnego niż Nibork.

Była to godzina pocztowa, czas krzyżowania się dyliżansów, dla czego w izbie podróżnéj zastałem kilku gości, a między nimi młodego człowieka powierzchowności dosyć przyjemnéj, niejakiego pana Nawrockiego, ucznia Uniwersytetu Królewieckiego, w Grudziążu urodzonego, i wracającego od rodziców, na hańbę jego i naszą oddającego się filologii.

Nawrocki tłómacył się trudno po polsku, mówił narzeczem chłopsko-pruskiém. Ja że z filologiem, że z Nawrockim, i że w Prusach, nie chciałem mówić po niemiecku.

Rozmowa tedy szła nam trudno. Przytém nie widziałem w nim skłonności dla mnie, jaką za zwyczaj mają dla siebie rodacy. Wyszedłem więc szukać jéj gdzieindziéj; i zaraz na rynku spotkałem stróża nocnego (było to w nocy), któremu nie tak trudno było wysławiać się naszą mową, jak wychowańcowi Uniwersytetu Królewieckiego, filologowi Nawrockiemu. Nie myślał o wyrazach ale o swoich uczuciach, jakie w nim powstały na widok brata Mazura. (Urzędownie Polacy tamtejsi są nazywani przez Niemców pruskich Mazurami.)

Chciał mi on uprzyjemnić pobyt w jego mieście rodzinném; mówił do mnie nieustannie; pytał o Polskę, o Warszawę.

Opowiadał mi, że kiedyś błądząc po lasach, dostał się aż pod Warszawę, iż ją widział nawet zdaleka. Powiadał mi że król pruski, panujący, niedawno przejeżdżał przez ich miasto; iż wszedł do kościoła, kazał sobie podać psałterz, i śpiewał z nimi pieśni po polsku.

Ta myśl, jak uważałem, była jego ulubioną, tułaczką czy panią jego głowy.

W lesie za Olsztynkiem spotkałem chłopaka pasącego bydło. Mówił on tylko po polsku.

Kraj ku Ostrudowi staje się coraz bardziéj zajmującym. W wielu miejscach jest jak najpiękniejszym, prawdziwie cudownym, dziewiczym. Widać góry dosyć wysokie, okryte lasem; między niémi jeziora.

Na tych górach, niezwiedzanych dotąd zapewne, tylko chata pustelnika, kościół albo zamek rycerski byłby na swojém miejscu. Nie ma żadnéj z tych właściwości, stoi tylko mieszkanie rybaka jednego z jezior tutejszych, które, jeżeli nie jest zdolném zastąpić czego tu nie znajdujemy, nie bezcześci jednak pokoju, i nie plami tych miejsc uroczystych.

W całym tym kraju nie ma pól tak rozległych, jakie widzimy około Warszawy, Łowicza, Opinogóry, Płocka, Zbuczyna i innych. Ale za to niemało jest położeń czarownych, do jakich dusza estetyczna lubi przywiązać się, które przepłaca i zamieszkuje człowiek nie poprzestający na materyi. Kto widział piękności położenia Nowéj Aleksandryi, Płocka, Kamionny, Gorzyna, Łomży, Augustowa, Czerska, Koła, Częstochowy i tylu innych, mianowicie na stoku Karpat, ten tylko może mieć wyobrażenie o cudnych okolicach Ostruda. Woda jak zwierciadło ozdabia to miasto. Dwa jeziora jęczą ustami swoich bałwanów do germańskiego Ostruda, liżą stopy jego wzgórza, i smutne wracają do swoich toni, nie usłyszawszy żadnego dzwięku, żadnego westchnienia odpowiedniego ich pieśni, nie usłyszawszy nic więcéj prócz *Flajsz* i *Bier*, dwóch wyrazów zaklętych w Germanii, dwóch przedmiotów, dwóch warunków rozkosznego życia Niemców.

Polacy nawet, mieszkający tu w znacznéj liczbie, mówiący

jeszcze między sobą po polsku, tutaj już są za bardzo pod wpływem wyobrażeń swoich panów, aby zatrzymali zdolność zrozumienia natury, przemawiającéj burzą albo pogodą swoich pierwiastków, aby potrafili odpowiedzieć uczuciem na te zjawiska.

W Ostrudzie jeszcze kupowałem owoce za pomocą mowy polskiéj; rozmawiałem także po polsku z jakąś starą rzemieślniczką; dowiedziałem się o mieszkaniach urzędników i wojskowych.

Jak wszędzie tak i tutaj rolnik, rybak, ogrodnik, rzemieślnik nawet, zatrzymali mowę ojców; pogardził nią, albo zaniedbał kupiec, urzędnik, szlachcic i w ogóle każdy bogatszy.

Takie to są części składowe armii, walczącéj przeciw okolicznościom, i taki wypadek walki. Sława i hańba tego czynu na ziemi pruskiéj ma swoje karty w dziejach Polski, ma je w dziejach ludzkości.

Wszystkie wsie mają tu nazwiska polskie; nazwiska wszystkich mieszkańców, mówiących po polsku, są na *ski* i *cki*. Przed Ostrudem jeszcze, z półtory mili za Olsztynkiem, wstąpiłem do wsi pańszczyznianéj, nie pamiętam jak nazywającéj się. Mieszkańcy jéj domów, dosyć zaniedbanych, nie umieją po niemiecku; w izbach swoich nie strzegą téj czystości niemieckiéj, jaka zaszła nad granicę Królestwa Polskiego drogą oczyńszowania, ani jemu także towarzyszącéj gospodarności; mieszkania ich są ubogie, podobne do mieszkań chłopów gubernii Płockiéj.

Daléj stoi Ostrowin (Osterwajn po niemiecku), wieś łatwa do zniemczenia w nazwisku, ale zatwardziała w swoich nawyknieniach staroświecczyzny. Mówi po polsku. W niéj spotkałem dwóch żydów z okolic Lubawy, z kraju należącego niedawno (przed 30 laty) do Księstwa Warszawskiego. Mimo że byli ogoleni i ubrani po naszemu, zachowali jednak w obyczajach tę samę nikczemność i nieznośność, jaka odznacza mieszkańców ulicy Franciszkańskiéj w Warszawie. Chwalili Polaków (zapewne dla tego, że łatwiéj dają się oszukiwać niż Niemcy) i rząd polski, któremu niegdyś ulegali;

chwalili jednego z obywateli tamtejszych K......go, który daje dowody ciągłego wytrwania w dobrém.

W ogóle cały ten kraj, czyli większość jego mieszkańców, ma wielką skłonność do Polski. Skłonność ta jest ożywianą przez mnóstwo naszych zbiegów, tam osiadających, tam żeniących się, i tam umierających. Oni także zanoszą tam język gubernii Płockiéj, którym odpolszczają narzecze pruskie.

ROZDZIAŁ V.

Za Ostrudem, za jego zachwycającém jeziorem, wązkiém a długiém na milę i niknącém w lasach; za jeziorem drugiém, krzywo zachodzącém aż do boru, blisko milę oddalonego od miasta, i za tym borem największym na drodze od Elbląga, półtory mili szerokim, wstąpiłem do wsi położonéj w okolicy pagórkowatéj i piaszczystéj nad jeziorem, i szczęśliwie trafiłem na mieszkanie szewca Gałeckiego, jedynego mieszkańca, tamtejszego, mówiącego po polsku. Przyjął mnie sercem otwartém jak rodaka, jak brata. Chociaż postępowanie jego było powolne, bez żadnych uniesień uprzejmości, widziałem szczérość i uczucie w jego oczach; widziałem, że byłem mu bardzo miły. Zastałem u niego drugiego Polaka, nauczyciela bliskiéj wioski, który, mimo swoją naukowość, mówił językiem takim jak wszyscy wieśniacy tamtejsi.

Mało okazywał wiadomości, bo czytać nie lubi; krótko mówiąc, jest on doskonałym obrazem, tożsamością z naszym nauczycielem wiejskim. Powiadał mi, że « pan Mrongowiusz », jak wiemy, kaznodzieja polski w Gdańsku i autor słownika polsko-niemieckiego, prosił króla pruskiego « aby jednak pozwolił mu umrzeć spokojnie, aby ta polska mowa nie była tak zaniedbaną w Prusach, by pozwolił jéj nauczać. » W tych wyrazach opowiedział mi spotkany nauczyciel o szlachetnych usiłowaniach Mrongowiusza, godnego czci naszéj.

Nazwiska na *ius*, w Prusach starych, pochodzą, jak mnie się zdaje, z naszych krajów.

Polacy to, ci owszem Latyni nadwiślańscy, kiedy wypadało im mieszkać pod rządem niemieckim, nie mogąc zachować godła swojéj dawnéj ojczyzny, nie chcąc też się germanizować całkowicie, przybierali nazwiska łacińskie, a prawdziwiéj zatrzymywali jedno z tych dwóch nazwisk, które, wśród fanatyzmu łacińskiego, walczyły z sobą o piérwszeństwo. Tylko by nie rozdzierać rany zadawanéj naszéj narodowości, w tych wiekach mroku politycznego; tylko by nie hańbić naszéj żyjącéj narodowości, w obec i na korzyść dawno zamarłéj, nie rozwinę historyi tego latynizmu.

Było tak przecież: królowie, wodzowie, uczeni nasi wszyscy mówili tym językiem upodobanym.

Niedosyć jeszcze jedno piérwszeństwo znakomite. Dzisiaj na pomniku, na posągu nie spotkasz własnego dziada Polakiem, ale Latynem. Gałecki wymieniał mi nazwiska swoich sąsiadów na *ski* i *cki* zakończone; mówił mi przecież, że ci, tak nazwani, nie umieją po polsku; mówił, iż mu trudno żyć z Niemcami, że się przesiedli w stronę polską.

Gałecki ubolewał, że ztąd ma daleko do miejsc świętych na odpusty. Objaśnił, że oni, chociaż są luterakami, chodzą na święte miejsca katolickie.

Zadziwiało mnie to bardzo i przypomiało taktykę ludów i rządów systematycznych; przyszła mi na myśl niedawność reformacyi.

Tutaj to gdzieś wypada nasza granica, podług wyobrażeń XIX° wieku, bo tu się kończy nasz język. Niezawodnie tu ona byćby powinna, gdyby nie miała właściwszéj linii na brzegach Baltyku, odległego od tych miejsc o 8 mil najwięcéj; gdyby losem napływowéj ludności niemieckiéj tego niewielkiego wymiaru, nie było przenarodowienie na korzyść naszą. Tutaj rozstałem się z moim krajem kochanym, rozstałem się z moimi braćmi, moim jezykiem, obyczajami; pożegnałem to, co mi jest najdroższe.

Wjechałem do kraju zalanego powodzią germańską, do

kraju zdobytego, do kraju z sercem germańskiém, który na ścianach swoich domów zawiesza tylko germańskich rycerzy; do ludu, który doskonaléj czuje byt niemiecki, niż najrozumniejszy Niemiec Germanii środkowéj; który, jedném słowem, czuje go jak zdobywca. Wszystko, co się już stało, było naturalném, było konieczném; dla tego tym przychodniom na naszą ziemię złorzeczyć, przeklinać ich nie będę. Bo nawet los każdego cudzoziemca, osiadającego w obcym kraju, nie jest do pozazdroszczenia. Czy on przyjedzie jako wódz napastników, czy jako wódz małpek i niedźwiedzia, prędzéj czy późniéj musi utonąć w większości, musi przyjąć jéj narodowość. Odległy potomek zachowa skłonność tradycyjną dla ojczyzny jego przodków, ale musi nastąpić czas, w którym ta skłonność zagaśnie; urosną potomki, które się zaprą wszystkiego, aż do imienia. Taka to korzyść ulegania okolicznościom, niegotowości zniesienia losu swojego kraju jakiegokolwiek, a mówiąc po polsku, taki wypadek zejścia ze swoich śmieci.

Wjechałem tedy w kraj niemiecki. Germania jest ojczyzną gospodarności, porządku, czystości i wielu innych cnót domowych, ale także jest siedliskiem wielu wad i ułomności naszéj natury, między któremi obżarstwo bezspornie zajmuje piérwsze miejsce. Żywość kobiét pracowitych, lekkość młodzieży szkolnéj póty tylko rozweselają wędrówca, póki nie spotka téj obrzydłéj ociężałości, jaka zaraża każdego Niemca, dochodzącego dojrzałości, i tym sposobem zaczynającego używać woli. Żądze ich, zwyczajnie, rozwijają się w kierunku jednego z siedmiu grzechów głównych, to jest obżarstwa. Nie chcę tu mówić o fajce i piwie, których nie należy brać pod rachunek w Niemczech, bo niepodobna ująć w liczby takiego ogromu.

Germania jest obszerném polem dla badacza, dla filozofa. Nasuwa ona między innémi to pytanie : czy lepszém jest dla pojedynczego człowieka, dla społeczności doznanie wszystkiego w młodości aż do przesytu, i w następstwie, traktowanie świata zupełnie na chłodno, bez uniesień, podług

wskazań rachunku, podług teoryi sztuki; inaczéj mówiąc, zobojętnienie dla wszystkiego, ugaszenie wszelkich płomieni naturalnych? Czy lepszém jest to, czyli też lepszém oszczędzanie życia, staranne używanie go z umiarkowaniem, bez zbytku, bez wysileń, w miarę wszelkich możności?

Co do młodzieży niemieckiéj, żyje ona tak czynnie, tak doświadcza życia, jak może młodzież żadnego innego narodu: wyczerpuje wszystkie przyjemności, szczególniéj estetyczne; bawi się tym sposobem aż do znudzenia wszystkiém. Ta młodzież, jak każda inna, nie ma materyałów, na którychby mogła zastósować swoje teorye; nie stósuje ich zatém, znudza się samémi rozumowaniami, rzuca je, choć najszlachetniejsze, najmędrsze, i dla tego znudzenia, już ich drugi raz nie podnosi, nie odświeża w swojéj pamięci. Coż więc dla niéj zostaje w dalszém życiu? Oto materyał, który jako nowość jest jéj miłym. Staje on się bożyszczem Germanina, na całe jego życie istotne, to jest od trzydziestu lat do śmierci. Taki widok przedstawiają Niemcy, a właściwie męzka półowa ich ludności. Owe medium (mierność), zachwalane zdaniem « medium tenuere beati » (szczęśliwi trzymają się mierności), nie ma tam zwolenników. Młodzi Niemcy są fanatykami myśli, starzy fanatykami materyi. Kobiety tylko, *gdyby nie jedna wada*, za nadto powszechna, aby mogła być uderzającą, byłyby najbliższémi tego środka.

Zresztą nie będę się rozwodził o Niemcach. Wszystkie narody przedstawiły « swoje obrazy, wykonane przez nie same.» Niektórzy pisarze więcéj zrobili : ogłosili « tajemnice » swych społeczeństw, swoich stolic, « odkryli » to, co « na korzyść obyczajów», ginęło piérwéj nieznaném. Już to zrobili i Niemcy. Do tych więc książek odsełam moich rozsądnych czytelników, chcących poznać mieszkańców Prus nadmorskich (pas ośmiomilowy germańskiego pochodzenia i Polaków zgermanizowanych).

Na pożytek jednak Polaków powiem — bo i nie mogę tego zamilczeć — że ta ludność nie mówiąca po polsku, ludność zdobywców Niemców i zdobytych Polaków, dziś przenaro-

dowionych, choć dosyć rycerska i śmiała, traci połowę swego ducha w obec Polaków; zdaje się pojmować, iż jest na naszéj łasce. Wreszcie usposobienie spekulacyjne nie pozwala im przywiązywać się do tego, czego ująć, czego obliczyć nie można.

Mniemam, że za lada jaką korzyść materyalną, za parę tysięcy korcy jęczmienia mazowieckiego na słody, oddadzą nam oni cały zewnętrzny ogół swojéj narodowości niemieckiéj.

W postępowaniu zaś z narodami, którym można wytłómaczyć, usprawiedliwić ich przenarodowienie, trzeba je zaczynać przemianą cech zewnętrznych, nic prawie nie znaczących dla klas zagrożonych od strony potrzeb, widzianych i kochanych przez warstwy wykształcone, dla których przekonanie jest dostępniejszém. Cechy narodowości istotnie rzeczywiste, dotykające materyalnych interesów, trzeba pozostawić czasowi.

Na téj powierzchni, wydartéj Polsce, nie znajdowałem przychylności uprzedzającéj, nie spotkałem téż i nienawiści. Jest tam dla nas wdzięczność, życzliwość obojętna niemiecka, ale nie ma ona języka, nie ma czém się nam wytłómaczyć, musi tedy pozostać nieznaną.

Miejscowość tamtejsza, powierzchnia, na któréj osiedli Germanie, jest w najwyższym stopniu urodzajną i obfitą, dosyć przyjemną dla oka, nie zbyt leśna i nie całkowicie polna; słowem, jest krajem, mającym wszystkie własności, wszystkie warunki szczęścia. Ludność téż używa go rzeczywiście, nie w stopniu wyższym estetycznym, uszlachetnionym, tylko po cichu, po gburowsku, ale używa go cała, bez narażenia bytu materyalnego: podstawy czynności ludzkich. Wsie tutaj są stanowiskami dworów murowanych, nie chałup; przy wszystkich są ogrody owocowe, wszędzie jednak jest i karczma.

Nie ma próżniaków : pracowitość w całém znaczeniu tego wyrazu. Nie ma oglądania się na drugich, na ich zazdrości lub śmiechy; jest postępowanie podług siebie.

Dla dopełnienia obrazu Prus starych, dodam jeszcze : z jednego podwórza wybiegły dwie czwórki koni powozowych, zaprzężonych w wozy drabiniaste, a właścicielka tych

koni przyjęła mnie w swym domu, i targowała się ze mną o owoce, nie przestając trzaskać płochą i przerzucać czołenka krosien, przy których siedziała.

Taka tam pracowitość, takie starania i konieczny tego skutek : bogactwo, obfitość wszystkiego, słowem wielkie materyały !

Jest to niewątpliwie najlepsza część naszéj ojczyzny.

ROZDZIAŁ VI.

Nie zupełnie jeszcze przeminął w Polsce czas zbytecznéj ufności książkom, przywiązywania się do papierów, nie zasługujących na to. Początek tego jest współczesnym odrodzeniu nauk; wypada na panowanie Stanisława Augusta. Długo u nas nie widziano książek ; jeżeli były jakie po Jagellonach, leżały w kurzu, pod strzechami, w bezlitosném zapomnieniu ; bo wszystkie myśli Polaków za elekcyi skierowane były do piwnic. Tam było życie narodu : w wilgoci tych podziemiów pruchniała dzielność fizyczna, pruchniały obyczaje, Polska pruchniała. Długo trwało to nieszczęście. Dopiéro, kiedy wielcy Załuscy zgromadzili książki, kiedy sławny Konarski i inni wystawili narodowi, że w książkach może znaleźć przyjemność, jakiéj zaczynał nie znajdować w butelce, (bo człowiek nierozumny używa chętnie wszystkiego do znudzenia), rzucono się dziecinnie do książek. U wielu stały się one wszystkiém ; zastąpiły one same to, czego są obrazem : zastąpiły rzeczy i czyny. Nie tylko cała część uczona narodu tak postąpiła, zrobili to i autorowie wszelkiego rodzaju, wyjąwszy prawdziwie zdolnych pisarzy ; zrobili to ówcześni ludzie, prowadzący naród, robią dzisiejsi tak nazywani poeci.

Podług mnie, matematyk, fizyk, mechanik, historyk, ekonomista polityczny, i t. p., mogą się zamknąć tylko z książkami, szukać ze ścisłością, mogą rachować, nie widzieć cudów

natury, jéj rozmaitości, mogą nabyć wyobrażeń o tém z pism, mogą na tém poprzestać, zwłaszcza kiedy muszą. Ale poeta, przedstawiający wszystko pod postacią doskonałą, i tym sposobem podnoszący większość narodu ze stanowiska niskiego do ideału doskonałości, poeta nie może poprzestać na obrazach malowanych głoskami, musi widzieć własnémi oczami morza, oceany, skały, góry, pustynie, wulkany, pożary, zapadnięcia, rozbicia, jaskinie, kopalnie; musi widzieć lwy, tygrysy, hyeny, krokodyle, bitwy, floty, wielkie miasta, olbrzymie budowy; musi słyszeć wszystkie symfonie natury i sztuki; musi poznać to wszystko tak dobrze, jak powinien poznać człowieka i sprężyny poruszające jego działaniami.

Te wrażenia wykształcą go na poetę, będą żywić i podsycać w nim myśl wysoką, utrzymywać jego duszę w stanie wytężenia, napięcia. Na pozór to łatwém jest wyobrazić sobie: ocean, górę, wulkan, i t. p. Tak się zdaje, ale tak nie jest. Trzeba koniecznie stanąć nad morzem, widzieć jego zieloną jednostajność, skakanie jego bałwanów, trzeba słyszeć jego jęki, aby mieć dokładne wyobrażenie o morzu. W obec dziwów przyrodzenia, człowiek przebiega myślą wielkie teorye, doznaje nowych uczuć, poznaje wielkość Boga i nicość swoją; tam, mimo wiedzy, staje się religijnym, cnotliwym; tam zamierza wysokie cele, postanowia szlachetność. Błąd więc owych, tak nazywanych poetów polskich, błąd całéj czytającéj Polski leżał i leży w tém, iż unikała wielkich wrażeń natury, że uwierzyła książkom a zaniechała samych rzeczy. Mała dopiéro część rozsądniejszych pozbyła się tego błędu; szukają już wielkości naturalnych, po lądach i morzach; chociaż jeszcze nie są tak daleko jak Anglicy i Francuzi, jednakże już szukają, poszli w tym kierunku.

Morze, podług mnie, jest koniecznością dla narodu, chcącego mieć jakiekolwiek znaczenie w świecie. Tam tylko jego syny poznać mogą niebezpieczeństwa, na jakie ich nie narazi gdzieindziéj wymodlony czas pokoju; tam wykształcą się na kolumny, podpierające swój naród. Dla czegóż to, np. Anglik przychodzi obojętnym na pole bitwy? czemu go nie zastraszają

największe niebezpieczeństwa? Bo ciągle przywyka ginąć na morzu, zasypia w téj wspólnéj mogile żeglarskiéj. Jest to koniecznêm dla ludów; bo jeżeli człowiek drogą cywilizacyi wyszedł już z dzikości; jeżeli przestał napadać na drugiego, powinien szukać niebezpieczeństw w naturze, poznawać ostateczności życia; inaczéj będzie dzieckiem, niemowlęciem.

Tymczasem plemie germańskie wyłączyło, odcięło Sławian od brzegów morskich, należących do nich bezspornie, na piérwszy rzut oka. Kurlandia, Inflanty i Estonia doznały tego względem Rossyi. Prusy i Pomorze wydarto Polsce. Polak dzisiejszy tęskni do Baltyku, a stanąwszy nad miłémi jego wodami, patrzy z roskoszą, z zachwyceniem na jego mgło-rodną powierzchnię, na chude mewy, igrające z wodą i żywiące się jéj chudym pokarmem.

Są dwa miasta na polskiém wybrzeżu, szczególne swoją budową, nigdzie podobno niepowtórzoną, po staroświecku okazałą. Te miasta wszakże nie są nazywane przez swoich mieszkańców tak, jak je nazywacie Sławianie, jak je nazywacie Polacy. Zamiast mówić o Elblągu i Gdańsku, muszę opisywać *Elbing* i *Dancyg*.

Najprzód przybyłem do Elbinga. Napróżno usiłowałem używać mojego języka brzmiennego, unikając mowy płaskiéj, zlepiającéj się w ustach; bo mało kto mówi tam po polsku; może kilkadziesiąt osób. Niemcy patrzą tutaj na Polaków jak na chlebodawców, a po kątach jak na tych, których w handlu oszwabiają. W Elblągu usłyszałem Polaków na statkach: byli to mieszczanie z Nowego, miasteczka stojącego nad Wisłą, wyżéj od Malborga. Ludzie wyborni, obyczajni, wstrzemięźliwi, uczciwi, czytający po polsku. Przewożą oni zboże i inne rzeczy swojémi statkami małémi, jako najemnicy. Były z nimi kobiéty. Ubolewali oni więcéj nad zagładą katolicyzmu niż polszczyzny w tamtych krajach. W tym niedostatku uczucia narodowego są podobni do wszystkich Polaków, na hańbę i nieszczęście nasze! Elbląg zrobił na mnie przyjemne wrażenie, korzystnie przedstawił mi się. Opowiem jednak jego szczegóły dopiéro wtenczas, kiedy dopłynę do Gdańska; bo

obadwa te miasta są jednakowe; obraz jednego jest obrazem obu. Elbląg tylko jest czyściejszy, porządniejszy; może dla tego, że nie tak tłumnie ludny, jak Gdańsk.

Parowa brygantyna Szwalbe (Jaskółka, *Schwalbe*), własność Towarzystwa żeglugi parowéj między Elblągem, Królewcem i Gdańskiem, odpływała o szóstéj rano. Wchodzę tedy na pokład, i płynę do Królewca, z mnóstwem podróżnych, najwięcéj młodych ludzi, dążących na uroczystość jubileuszową tamtejszego Uniwersytetu, dzisiaj albo niegdyś wychowujących się w téj szkole. Kiedy téż to ona będzie wykształcała ogół, nazywający się Polakami? Może dopiéro po dwóch wiekach? Będzie tak przecież nieodmiennie. Niemcy tamtejsi łatwo uznają konieczność przyjęcia narodowości polskiéj; są bowiem osadą mało znaczącą obok ludu szesnasto-milionowego. Płynę naprzód kanałem, zrobionym z rzeczki, wązkim, ale głęboko wyszlamowanym przez gospodarność niemiecką. Dopływam nakoniec do odnogi Fryskiéj. Nie pojmuję dlaczego, wychowaniec pól obszernych, równin ilastych, nadzwyczaj lubię morze? Chciałbym patrzeć ciągle i mieszkać nad wielką wodą. Jęki bałwanów dodają życia mojéj myśli; przypominają mi Boga, Polskę, Sławiańszczyznę, rodzinę, wysokość stanowiska człowieczego względem stworzenia, drobność naszego utworu względem Boga: podnoszą mnie bałwany morskie! Tu zawsze powstaje we mnie ta myśl naucząca, że przez utratę morza Baltyckiego Polska straciła swoje znaczenie i byt w końcu. Szkoda, że rycerstwo polskie nie budowało zamków swoich na wysokich brzegach tego morza, jak budowało na brzegach Dniepra (Rohaczów, Kaniów i inne)... Wypłynąłem już na zatokę. Z obu stron widać jéj brzegi; do obu przybliża się nasza brygantyna, aby zabierać mieszkańców pobrzeża, chcących płynąć do Królewca. Przybliżyła się także do Frauenburga, w Warmii, przybliżyła do grobu wielkiego uczonego naszego, do grobu Kopernika. «*Das sind katolische Kirchen*» (to są kościoły katolickie), powiadały mi Niemcy, patrząc na Frauenburg. «Katolickie», powtórzyłem w duszy, «i dobrze, że katolickie»! Bo katolicyzm ze swojémi obrazami męczenników, świętych ludzi, z obrzędami uro-

czystémi, ze swojémi postami i życiem klasztorném, pobłażający (tolerancyjny), katolicyzm pół-duchowy, pół-zmysłowy, po odrzuceniu łaciny niezrozumiałéj i hierarchii oraz zwierzchnictwa Włochów, lepszym jest niż protestantyzm, przekonywający rozumowaniem, a zaniedbujący cielesną część człowieka, który, chociaż jest pierwszém, naczelném stworzeniem na ziemi, jest przecież zwiérzęciem. Obrazy nasze to dobry sposób przekonywania, obudzania myśli.

Na statku przystąpił do mnie, odezwał się po polsku Szulc, czekający na pastorstwo ewangielickie, w okolicach Brodnicy. Mówił językiem tak czysto polskim, jak warszawski. Jest Polakiem, ale nie śmiał nazwać się nim, bo jest ewangielikiem, wychowanym w Królewieckim Uniwersytecie, pod panowaniem Niemców. Nazywał się jednak Prusakiem, nie Niemcem. Na statku naszym było kilku brunetów, jakoś osobno trzymającyh się, którzy bardzo zajęci byli jedzeniem. Objaśniono mi, że to są starozakonni pruscy.

Tak tedy dopłynąłem do Piławy, ważnego portu pruskiego, który, prócz swojéj posępności, przewiewności i gmachów, wyglądających z nad brzegu na morze, nie ma nic szczególnego. Ztamtąd popłynąłem do Królewca.

ROZDZIAŁ VII.

Królewiec, jak i wszystkie miasta jego rowienniki, jest nieporządnym, niewygodnym, niezdrowym. Domy jego bowiem są za bardzo skupione, bez dziedzińców, ani nawet podworzy; stawiane są bez żadnego systematu w ulicach krótkich, krzywych i ciasnych; słowem, bez ogólnéj myśli miasta, bez przezorności. Choroba Rzymianizmu, w dzisiejszych czasach, udzieliła się wielu głowom: niemieckie z natury były dla niéj najdostępniejsze. Wielu Niemców pruskich, większa ich część, szczególniéj część pojmująca wyższe dążenia człowieka, przyj-

mująca za dobre naśladowanie sławy, kiedy nie można mieć jéj w rzeczywistości, część dawna Niemców przybyszów nad morze polskie, ta ludność pruska ogłasza, że Kenigsberg stoi na siedmiu pagórkach, jak Rzym starożytny. Ci którzy mnie to mówili przypuszczając, że będę mógł sobie zapełnić ten ogrom historyczny, jaki odsłania wspomnienie Rzymu, poprzestawali na zawiadomieniu mnie o równéj ilości pagórków, służących za podstawę obu miastom; ale z ich oczu można było wyczytać, że tylko skromność nie pozwalała im rozszérzać się nad przyszłémi przeznaczeniami Prajsenów (Niemców pruskich). Nadzieja, jak nieboszczyk pan Błażéj mówił, głupich matka. I może się to sprawdzić na Królewcu.

Osada musi ustąpić ludności litéj. Wyższość jest rzeczą wielostronną. Nie tylko łatwość pojmowania jest zaletą człowieka, mnie się zdaje że Sławianie, w koło obejrzani, mają więcéj dobrych stron jak Germany. Dla Niemców pruskich dobrém będzie przypomnieć, że osadnicy Trojańscy na brzegach Italii, byli wprawdzie wielkimi, ale dla tego że przyjęli narodowość ludności miejscowéj Latynów. Jeżeli więc Prajseny chcą naśladować Rzymian, powinni się nazwać Prusakami, nie Prajsenami; Kenigsbergery powinni zostać Królewiecczanami. Królewiec jest miastem czysto niemieckiém, większa połowa wojska tylko złożona jest z Prusaków, nie mówiących po niemiecku ani słowa. Ja tak znalazłem, i zapewne jest to zwyczajem rządu pruskiego.

Z Królewca popłynąłem do Gdańska. Gdańsk zachował więcéj wierności dla swéj ojczyzny, niż Elbląg. Tam i sam znajdziesz w nim mowę polską, tam i sam spotkasz mil czącego Kaszuba, przybyłego na targ lub téż usługującego Niemcom, jeszcze nie zgermanizowanego ich parobka; znajdziesz jeszcze mnóstwo orylów czyli flisów z nad Buga, Narwi i Sanu. Ci ostatni szczególniéj wiją się ciągle nad rzéką; są jedynymi nauczycielami mowy polskiéj. W Gdańsku, wszystkie kupczyki nadwiślańskie, których jest wielka liczba, są ciągle jakby w szkole języka naszego, przedając tym słomianym kapeluszom fajki, woreczki i inne drobiazgi. Nie ma tu

żadnych pomników polszczyzny; język, mieszkańcy i ich nazwiska nie są polskie; chwała, zwycięstwa polskie, sławiańskie, nie orzeźwiają ich ani podnoszą, nie budzą ich dumy. Jest wszakże pomiędzy tymi przybyszami uczucie wdzięczności; jest przekonanie że siedzą na naszéj łasce, że wypasają się naszym chlebem. Niemcy, trzeba wyznać, chociaż nie są ludem rycerskim, umieją szanować rycerstwo, ten najpiérwszy stan w każdém towarzystwie. Oficer, u Niemców pruskich, wszędzie ma najpiérwsze miejsce, najświeższą kawę, najtłuściejszą wieprzowinę, najbardziéj wyszumiały kufel piwa, najcieplejszą i najmiększą pierzynę. To wszystko jest i dla Polaka wszędzie, w Gdańsku szczególniéj. Gdańsk stoi na ziemi Kaszubów, naszych braci, mówiących dobrym językiem polskim, zewsząd otoczony ich wioskami, żywi się ich pracą, zaspakaja swoje ogromne potrzeby żołądka. O Kaszubi! o kochani mieszkańcy Pomorza, świadkowie jęków naszego oceanu, i sami jęczący, nieszczęśliwi! Cóż ja wam pomogę, chocieście mi odmalowali swój ucisk waszym słodkim, szeplunącym językiem? Gdyby wstało z grobu które książę pomorskie, nie zrozumiałoby większéj połowy mieszkańców dawnych swoich obszarów. Jest w tém wina wszystkich Polaków, jest i wasza, Pomorzanie. Oni nie podali wam ręki, wyście nie wyciągnęli rąk swoich, nie zażądali pomocy. Ale nie rozpaczajcie, zachowajcie krew zimną rycerską! Żyjecie jeszcze, widziałem was, mówiłem z wami po polsku, po sławiańsku, więc nie rozpaczajcie!

Przypłynąłem do przystani Gdańskiéj, to jest do miasteczka Najfarwasser, o godzinie ósméj wieczorem. Zastałem bryczki gdańskie na brzegu; w godzinę mogłem być w samém mieście; ale zamierzyłem przedewszystkiém być w Oliwie, dla czego tu zanocowałem. W domu gościnnym nie zastałem pokoju wolnego, i dowiedziałem się o tém od wyuzdanéj blondyny. Gotów byłem przenocować gdzie bądź, w karczmie, na ławie; ale i to było niepodobném. Mój przewodnik tedy, mały chłopiec, zaprowadził mnie do kupca, który rad mi był, i widziałem że jako Polakowi. Jego żona zdawała mi się mieć

trochę dumy owych kupczek weneckich. On sam rad mi był, bo człowiek przewidujący: rozmowa jednak nasza była drzymną, wcale niezajmującą. Dowiedziawszy się że ten kupiec nazywa się Wolter, zapytałem go: czy nie jest krewnym Woltera, sławnego pisarza francuskiego? « Nie, odpowiedział, tamten był Woltēējr, a ja jestem Woltĕr.» Odkrył on mi swoje widoki na przyszłość Gdańska i losy germanizmu w nim; zaczął dumać, późniéj zasnął. I ja także położyłem się.

Bardzo rano nazajutrz wyszedłem do Oliwy. Któryż Polak nie zna tego klasztoru, w którym znalazły koniec nasze klęski długoletnie od Szwedów? Któryż, przechodzący około posągu Zygmunta III^go^ w Warszawie, nie przypomni sobie, że tam zaprzysiągł on *pacta conventa*, przedstawione mu przez posłów naszego narodu? Wielkie wspomnienia! Ow szum światowy, sprawiony tam przez zawierających te umowy, wynagrodzonym jest religii dzisiejszém milczeniem więcéj niż uroczystém, przeważającém. Klasztor, jego mury ogromne są wielkiémi pustkami. Cystersom nie wolno powiększać swojego zgromadzenia: dwóch tylko z nich do swojéj śmierci bronią te mury od zapieczętowania. Niemcy nie wiele myślą o Bogu, nie wierzą w przyszłość, troszczą się tylko o pożytki materyalne tego świata. Wielki ogród (za nasze pieniądze) utrzymują w porządku jakim-takim; do niego przyjeżdżają po kwiaty i *für Vergnügen* to jest dla przyjemności. Klasztor zaś poważny, dwuwieżowy, długi i czysty, stoi pod górą okrytą lasami; niegdyś zapewne i on sam był w lesie. Szkoda że jest w dole, bo kościół powinien być jak najwyżéj, powinien błyszczeć dla pobożnych; dzwon jego daléj byłby dosłyszanym.

Jadąc z Gdańska do Szczecina, wstąpiłem do Soboty (Copott), gdzie są kąpiele morskie. Tam zastałem wielu Polaków, i, co mnie nie zadziwiło, zastałem ich w jadalni. Więcéj z Księstwa Poznańskiego i Prus Zachodnich, mniéj z Królestwa i innych części Polski. Nie dostrzegłem między nimi żadnéj różnicy w usposobieniach; wszyscy byli

podobni do siebie, wszyscy podobni do całego narodu. Żaden z nich, chociaż w Sobocie, chociaż żaden nie umiał dobrze po niemiecku, nie mówił jednak po polsku z tamtejszymi swymi braćmi, z Kaszubami. Jest to szczególniéj zarzutem przeciwko Polakom Królestwa i Cesarstwa, którzy mogli to robić bez obawy żadnéj : ztąd nieprzyjemności. Ci Polacy nie rozumieją swego stanowiska względem cudzoziemskiego języka. Potrafiono im wmówić to zdanie, najfałszywsze w świecie, że kto mówi językiem obcym, powinien mówić tak, aby był przypuszczany za pochodzącego z narodu, którego językiem mówi, nie zaś takiego jakim jest rzeczywiście ; to jest powinien unikać cech swojéj narodowości, przyjąć zwyczaje obcego wysłowienia. Jakiéjże to potrzebuje pracy! jakże zabiera miejsce w głowie innym wiadomościom potrzebniejszym! Ci Polacy nie mówili na usługujących im *ty*, jak mówią zwyczajnie, ale *pan*, jak, zdaje mi się, nie mówią Niemcy. Robili to niezawodnie z ogólnych zasad głupstwa, a między innémi i tych pobudek, dla których Cieszkowski napisał książkę po francusku, to jest aby też wiedziano o nas i za granicą, aby wiedziano kim jesteśmy. Ta to myśl nieszczęsna dbania o chwałę za granicą, pozbawia nas dobrego imienia w kraju. Wielu jest Polaków, którzy nic nie zrobili dla rodaków, a rozrzucili swój majątek między cudzoziemców. Znaczna część zrobiła to aby się okazać szlachetnymi cudzoziemcom. Drezno i koniecznie Paryż są stanowiskami tych marnotrawców nierozsądnych i występnych nawet. Są to zwyczajnie ludzie majętni, którzy zostawiają w Polsce jak najsurowszych służących w swoich dobrach, z poleceniem wyciągania z biédnego ludu wszystkiego, wszystkiémi sposobami; zostawiajacy tym sposobem swoich pracowników na łup grubiaństwa i srogości, a sami wyjeżdżają za granicę robić takie głupstwa, szanować, bogacić łapserdactwo cudzoziemskie.

Za Sobotą wjechałem w lasy, gdzie niegdzie porozrzucane po górach, z których widać morze, słychać jego jęki.

Cóż to za kraj cudny! Takie położenie jest mojém ulubionném. Tamto chciałbym przeżyć lata mojego wytchnienia, tam orzeź

wiać się; i dziś nawet, gdybym mógł tam zamieszkać, moja myśl byłaby dzielniejszą, byłaby podniesioną do szlachetnośći, przez większą połowę życia. Któż z nas ożywi Kaszubów i Pomorzan, umierających dla Polski? Kto wskrzesi uczucie i ducha naszego? Nie ja, niezawodnie. Do tego potrzeba bibliotek i działaczów ustnych: ja nie mam na to pieniędzy. Na to nie każdy nasz magnat może się odważyć.

Cóż to za kraj cudny, to dawne województwo pomorskie! Jaka naukowa, jaka moralna powierzchnia! Polak na swoich obszarach wykształca się na religijnego, łagodnego, na patryarchalnego poddasznika. Na pomorskiéj ziemi, nad brzegiem Baltyku, może się usposobić na niezmiennego i milczącego bohatéra, tak statecznie napierającego, jak bałwany morza, tak spokojnie bolejącego, jak jego wody jęczące. Tam to wykształcają się tacy ludzie, jakich właśnie Polska nie ma, a jacy jéj są najpotrzebniejsi.

Trakt od Gdańska do Nowego Miasta czyli Wejerowa rzucony jest po górach, gdzie niegdzie ciągnie się bardzo blizko brzegów morza; kiedy niekiedy pokazują się ściany gliniaste wybrzeży, podmywane bałwanami. Spotkałem dzieci kaszubskie, pasące trzody na brzegach, patrzące na morze i okręty wypływające na widnokrąg. Obok nich siedział pies, podparty przedniémi łapami, wpatrujący się w morze. Wiedząż o tém wszyscy kształcący się Polacy, że polscy pasterze boją się co dzień o swoje trzody, by nie powpadały w otchłań morza? Dzieci te, na moją pociechę, nie umiały po niemiecku, i, acz małe zapytywały mnie zkąd jestem; a kiedy powiedziałem im, że z Warszawy, widziałem radość w ich twarzach i płomyki w spojrzeniu. Zapewne mojém ubraniem zamożniejszém orzeźwiłem ich, że mówiłem ich mową, to jest że ukazałem się im jako możniejszy i ich brat, co tam jest bardzo rzadkiém, bo wszyscy panowie są Niemcami. Zapewnie z tegoż powodu gościnnie i wystawnie byłem przyjmowany we wszystkich wsiach kaszubskich. Lud uczciwy, przygnębiony, wypytywał się mnie o Warszawę, o Polskę: częstowali mnie owocami i mlékiem. Widząc ich ubostwo, płaciłem im

bez targu, pomimo że jestem skąpy. Wsie kaszubskie są dosyć osiadłe, dosyć porządne, lepiéj zabudowane niż u nas; jak widać jednak ze starości budowli, były w tym stanie pod rządem własnym polskim. Kilkadziesiąt lat gospodarstwa niemieckiego nic nie zrobiły dla naszych braci. Szczególniéj religia jest zaniedbaną; kościoły katolickie stoją nieogrodzone (wszyscy Kaszubi katolicy), nie mają pasterzy; kiedy niekiedy tylko przyjeżdża ksiądz na mszą. Wewnątrz domów, obyczaje polskie z przymieszką niemczyzny. Kraj dosyć obfity, nie przeludniony, a więc mogący być szczęśliwym. Przebyłem go piechotą. — Na milę od Nowego Miasta, przemokłem od deszczu, i dla tego chciałem wsieść na koła. Nadjechał jakiś Niemiec; za wynagrodzeniem, zabrał mnie. Kosz do siedzenia był tylko jeden na dwie osoby. Chłopiec przeto, z nim jadący, musiał siedzieć na tarciczném dnie bryki, pod koszem. Kiedy mówiłem Niemcowi, że mu będzie bardzo niewygodnie, odpowiedział mi : « to nic, to jest Kaszub. » Rzeczywiście, chłopak biédny leżał pod koszem na deszczu, jak pies albo cielę. Tak widać każe niemiecka religia ulepszona (*verbesserter Glaube*). Z tym więc Niemcem milczący jechałem do Nowego Miasta, które wszyscy nazywają stolicą Kaszubów. Rzeczywiście, Kaszubi tam panują; ich wiara ma kilka kościołów i klasztor Reformatów; Niemcy nawet muszą się tam uczyć po polsku (naturalnie dla zysku). Na rynku zastałem kilka wozów przybyłych z okolicy, na nich mowę polską staroświecką, bardzo czystą, bez cudzoziemczyzny. Jeden z tych wozów należał do człowieka lat sześćdziesięciu, prawowiernego Polaka, bo nie umiejącego po niemiecku. Bardzo on szczerze oświadczył chęć zabrania mnie z sobą. Marszałkował nam jakiś młody, i w razie potrzeby, która rzadko miała miejsce, służył mu za tłómacza.

Ze smutkiem muszę wyznać, że zanim wyjechaliśmy, ci bracia zmarnowali jakąś godzinę na zagrzaniu czupryny. Dla tego wyjechaliśmy z miasta prędko, prawdziwie po sławiańsku. W drodze przeszło dwumilowéj poznaliśmy się doskonale. Starszy Pomorzanin nie umiał po niemiecku; ja, w tam-

tym kraju, uporczywie wmawiałem w nich że nie mówię tym językiem; chciałem tylko mówić po polsku.

Zgodziliśmy się więc uszczęśliwieni. Widocznie ten Kaszub zaczął myśleć o przeszłości, o któréj Polak, pod panowaniem Niemców durzony wszyskiémi sposobami, łatwo zapomina. Z roskoszą, jak uważałem, słuchał czystéj mowy polskiéj; to go przygotowało do zupełnéj otwartości ze mną. Opowiadał że wszyscy mieszkańcy tamtejsi są dobrzy Polacy, dobrzy katolicy; chciał abym został u nich, obiecywał dać się poznać zupełnie. W rozmowie dawał ciągłe dowody serca polskiego; opowiadał mi historyą Nowego Miasta; wywiódł drugie jego nazwisko. Wejer, ów sławny jenerał polski, był Kaszubem: niezawodnie na cześć jego nazwano Wejerowem Nowe Miasto. Mój Kaszub utrzymywał, że był on « rycerzem śmiałym, » a z reszty jego mowy mogłem wnieść, że jest u Kaszubów w poszanowaniu prawie religijném.

Rozstawszy się z tymi miłymi ludźmi, nająłem furmankę aż do wsi, którą spotkany Niemiec i drogozkaz nazwał Bożpól, będącéj już przeszło milę za granicą prowincyi Pommern. W tém Bożempolu mało kto mówił po polsku. Daléj już mowa nasza nikomu nie była znaną. Wioski: Denewic, Osterwic, Panewic, osiedlone Wandkami, Kumerowami, Stolpemi, są całkowicie zgermanizowane.

Wykształciły pomorski *platdajcz*, niepodobny do innego *platdajczu*, wywołujący w każdym wykształconym Niemcu swoją niezrozumiałością przekleństwa i czerwienienie się ze złości. Te jednak pomorskie ludności zachowały życzliwość dla swoich dawnych a może i przyszłych braci. Słyszałem tam pochwały, że język polski jest pięknym, że wypada się go uczyć.



Paryż. — W drukarni L. Martinet, przy ulicy Mignon, 2.

O.M. LEKEUX, O.F.S.C.

PŁOMIEŃ OFIARNY

K.Ś.W.

Z. S.